Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

BIBLIOTEKA WSP. Gdańska

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

ST. DZIECHCIARUK — Powieść polityczna A. Zweiga E. WARZENICA — Powieść ludowa
T. STRUMFF — Siedem lat od Poczdamu M. RANICKI — Losy „szarego człowieka"
W. BREOWICZ — Na marginesie pamiętnika G. LASOTA — Notatki o liryce
J. LIPSKA — Chłopcy z rzymskiego przedmieścia T. MURAS — Dyskusja o „Wspólnej dolinie"
WŁ. LESZCZYŃSKI — Jak przygotowuje się wojny W. DRYGAS — Wesołe opowiadania
WŁ. GRAB — Na tropie wroga J. BRZOSTOWSKA — Stanisława Kunickiego życiorys

Rok IX

Warszawa, dn. 23 III. 1952 r.

Nr 12 (346)

Natali Botwin
członek KZM rozstrzelany we Lwowie 1925 r.

W 30 rocznicę powstania KZM-u

Korespondencje do „Towarzysza"

(organu Komunistycznego Związku Młodzieży Polski)

Przeciw filantropii faszystowskiej

Kwiecień 1932 r.

Ja'am na naszej kuchni niedługo, ale już zdołałem zapoznać się z wszystkimi nazwami i przezwiskami, jakie bezrobotni stosują do zupki i do administracji. Jada nas teraz 2.500 bezrobotnych, wszyscy wygłodzeni, bo zaliwajka ta stanowi jedyne nasze pożywienie. Jemy przeważnie raz na dobę, oczekując na mrozie lub na błocie po kilka godzin w ogonku. Ażeby nam się nie przykrzyło i abyśmy się zachowali lojalnie, rząd faszystowski do tej filantropii dodaje kilkunastu burych (glin), ubranych rzeczywiście nie tak, jak my, w wiatrem podszyte i zniszczone paletka i podarte kapcie, ale w ciepłe kożuchy i wysokie buty. Tym nie jest zimno, na dobitek zaopatrzeni w grubawe pałki, którymi odpowiednio z zadziwiającą sprawnością działają, to na prawo, to na lewo, zawsze trafiając do celu, którym oczywista jest bezrobotny, opowiadający o swej biedzie drugiemu współtowarzyszowi. Tego w niepodległej Polsce nie wolno. Lecz my mamy tej filantropii po gardło, raz po raz doprowadzeni do rozpaczy stanem, w jaki nas pogrążył gnijący ustrój, zrywamy się do walki.

Któregoś dnia przyjechali taksówką operatorzy filmowi, którzy na grandę chcieli nas zdjąć do filmu, lecz my nie chcemy być widowiskiem dla sytych burżujów, a jak pokazać, to pokażemy im, że nie jesteśmy stadem pokornych baranów. Zaczęliśmy wznosić hasła z naszymi żądaniami i przeciw ustrojowi, w którym żyjemy. Gdy to nie pomogło, przypuściliśmy szturm do samego aparatu. A gdy pokonani odjeżdżali, żegnani gwizdami i różnymi okrzykami, podążyliśmy za nimi, chcąc ich wywrócić razem z taksówką.

Opowiedziałem tu tylko bardzo mało z tego, co jest doprawdy, dodam tylko, że w walce naszej nabraliśmy przekonania, jaką siłą rozporządza bezrobotny, działając solidarnie pod rewolucyjnym kierownictwem i teraz każdy z nas wierzy w lepszą przyszłość, ale już w Polskiej Republice Rad.

Strajk na Widzewskiej Manufakturze

Październik 1932 r.

Dyrekcja zaatakowała przędzalnie egipską i amerykańską. Obniżki sięgają od 25 proc do 40 proc. 26 sierpnia, w piątek, stają do strajku obie przędzalnie, zostają wyłonione komitety strajkowe W skład komitetów wchodzą przedstawiciele młodzieży.

KZMP rozpoczyna walkę o zatrzymanie pozostałych oddziałów. Na małej tkalni, na naradach młodzieży, wybrany zostaje komitet strajkowy, składający się z 9 młodych robotników. Udaje się on do dyrekcji z żądaniami młodzieży: 5 zł dniówka, zniesienie przymusu kupowania w konsumie i cofnięcie obniżek na przędzalniach.

W odpowiedzi dyrekcja grozi wyrzuceniem młodzieży i przyjęciem na ich miejsce jeszcze młodszych. Młodzież małej tkalni nie daje się jednak sterroryzować W poniedziałek rano rzuca pracę cała pomoc: natykacze, obciągacze, zamiatacze itd.

Wtorek. Zebranie młodzieży małej i nowej tkalni. Komitet strajkowy zostaje rozszerzony do 18 osób. Pomoc na nowej tkalni również rzuca robotę

Wychodzi odezwa KZMP do tkalni, nawołująca do strajku. Stopniowo tkacze porzucają pracę, tak, że po południu tkalnie stanęły. Wieczorem również stoją: przędzalnia i odpadkowa i działy ruchu (elektrownia, odlewnia, podwórze itd.).

6.000 robotników. Do ogólnego komitetu fabrycznego strajkowego wchodzi również przedstawiciel komitetu młodzieży.

Zadania: przeciw obniżce, przeciw przymusowi kupowania w konsumie fabrycznym, przeciw redukcji dwóch delegatów i jednego roobtnika, o uznanie komitetu fabrycznego i delegatów, o 5 zł dniówki dla pomocy, o zniesienie kategorii lat dla zamiataczy, wyrównanie im płac do 47 proc. szpinera (5 zł), o uznanie delegatów młodzieży.

Masy postanawiają okupować fabrykę. Dyrekcja wykorzystuje opuszczenie sali przez robotników dla zaplombowania drzwi.

Na podwórzu we wtorek wieczór gromadzi się 2.000 robotników. Wszyscy nocują pod gołym niebem. Straż oblewa trawniki, by robotnicy nie mieli się gdzie położyć. Nazajutrz robotnicy organizują komitet żywnościowy i komunę żywnościową, oraz milicję porządkową. Komitet strajkowy wypuszcza listy rejestracyjne Lewicy Związkowej. Inspektor pracy przemawia do robotników i nakłania ich do powrotu do pracy, oświadcza, że mogą jeśli chcą wychodzić z fabryki, gdyż będą wpuszczani z powrotem.

Tymczasem policja konfiskuje żywność i jednocześnie nie wpuszcza znajdującej się na zewnątrz części robotników.

Delegaci faszystowscy z ZZZ, Augustyniak i Peterman ukazują się na włókni. Nawołują do pracy i za kulisami prowadzą konszachty z inspektorem i dyrekcją.

Strajkujący nie ulegają jednak naciskowi. Pod wodzą KPP i KZMP pozostają na podwórzu mimo głodu, zimna i deszczu. Mnożą się wypadki zemdleń. Faszystowscy macherzy z kartelu, którzy przychodzą pod budę i agitują za oddaniem strajku kartelowi są przepędzani.

KZMP Łodzi rozwija w masach młodzieży włókienniczej akcję solidarności. Pod Niciarką masówka. Dwie pod Szajblerem. Demonstracja pod konsumem i monopolem wódczanym wybija szyby. Powstają dwa komitety pomocy widzewiakom. W poniedziałek na wiec pod Widzewską stawia się tysiąc robotników. Policja jednak nie dopuszcza do wiecu, przeprowadza masowe areszty i masakrę.

W sobotę 3 września masy opuszczają fabrykę. Strajk trwa.

Już przedtem dyrekcja idzie na częściowe ustępstwo. Masy nie ustępują...

List młodego fornala

Październik 1932 r

U nas na folwarku w Mordach pracuje 14 młodych fornali. Pracujemy od 3-ej nad ranem do 11-ej wieczór i dostajemy za to 1 zł 5 gr bądź też 1 zł 30 gr. Ale i tych głodowych zarobków nie otrzymujemy od 9 do 10 miesięcy. Obszarnik powiada, że gdy ryby sprzeda to nam zapłaci. Postanowiliśmy przystąpić do strajku. Cała młodzież była za tym. Wybraliśmy komitet strajkowy.

Strajk robotników Szlosserowskiej Manufaktury

Styczeń 1933 r.

2.500 robotników Szlosserowskiej Manufaktury stanęło do walki strajkowej przeciwko — lokautowi, o 6 dniowy tydzień pracy, przeciwko 15 proc. zniżce, o cennik płac z 1928 r., o umowę zbiorową, o uwolnienie aresztowanego w dniu 7-go sierpnia delegata fabrycznego, o uznanie delegatów fabrycznych, komitetu fabrycznego z przedstawicielstwem młodzieży.

Natychmiast po wywieszeniu wymówienia, którego termin upłynął dnia 22 grudnia komórki partyjne i kazetemowe na fabryce poczęły ożywioną działalność. Organizują z miejsca zebranie robotników całej fabryki. W dyskusji partyjniacy i kazetemowcy stawiają przed robotnikami konieczność odpowiedzenia strajkiem na nowy atak dyrekcji, godzący w byt 2.500 robotniczych rodzin. Zostaje przyjęta uchwała: strajkować aż do zwycięstwa, nie opuszczając terenu fabryki Na zebraniu wybrano Komitet Strajkowy z 56 robot., w tym 4 przedstawicieli młodzieży. Na najwyższym kominie fabrycznym wywieszono czerwony sztandar. Robotnicy zabarykadowali wszystkie wejścia, prócz jednego, by się obronić przed atakami policji. W pierwszym i drugim dniu strajku siedzą na fabryce wszyscy robotnicy, potem Komitet Strajkowy ustala zmiany, codzień siedzi na fabryce inna zmiana. Strajk na początku nosi charakter spokojny, jednak po kilku dniach KZMP-owcy intonują rewolucyjne pieśni, przeprowadzają pogadanki itp. Nastroje wśród robotników bardzo mocne Przy wstępnych pertraktacjach z dyrekcją, dyrektor fabryki Ekorowicz oświadcza, że żądanie uwolnienia delegata nie podlega jego kompetencji i nie ma żadnych szans na uwzględnienie tego żądania. Komitet Strajkowy z miejsca stawia to żądanie jako czołowe, o które robotnicy są gotowi walczyć nawet wtedy, gdy inne zostaną uwzględnione W czwartek 22 grudnia miała się odbyć konferencja przy udziale dyrekcji, starosty i komisarza policji. Robotnicy domagają się, by konferencja odbyła się wewnątrz fabryki — niechcąc dopuścić do aresztowania Komitetu Strajkowego, jak to było w strajku sierpniowym. Wszyscy robotnicy walczą solidarnie. Pod kierownictwem Partii i KZMP-u i Lew. Zw. na fabryce. Nawet starcy siedzą na budzie wiedząc, że redukcja ich przede wszystkim dotyczy. Akcję strajkową popiera ogół robotników ozorkowskich przez doraźną pomoc żywnościową i pieniężną Nawet drobno - mieszczaństwo czynnie wspomaga strajkujących. Dyrekcja fabryczna chce złamać strajk, znowu puszcza w ruch zgraje swoich sługusów, PPS rozpoczyna na fabryce jawną agitację za opuszczeniem fabryki, nawołując jednocześnie do ściągnięcia z warsztatów towarów i zabrania ich, jako zapłatę. Wtedy występuje jeden KZMP-owiec demaskuje próbę zdrady strajku przez PPS. Robotnicy zostają na fabryce. Przewidując, że zdrajcy będą w dalszym ciągu agitować i siać panikę i niewiarę wśród robotników, organizują KZMP-owcy trójki z Lew. Zw. i bardziej politycznie wyrobionych robotników — których zadaniem jest, gdzie tylko odezwie się prawicowy głos PPS-u, demaskować go. Dyrekcja miała nadzieję, że z powodu świąt strajk się załamie i robotnicy opuszczą fabrykę — ale się pomyliła. Na zebraniu fabrycznym, kierując akcją KPP i KZMP uchwalili na nowo strajkować nie bacząc na święta. KZMP-owcy w toku akcji organizują rew. sekcje młodzieży pod hasłem „wszyscy do szeregów Lew. Zw. Zaw.", przeprowadzają narady a potem rejestracje.

Kniewski W. Hibner Rutkowski
Rozstrzelani w sierpniu 1925 r. z wyroku sądu warszawskiego.

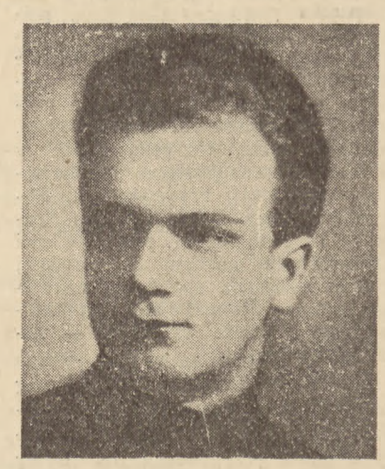

Janek Turlejski
członek KZM, więzień sanacji po katastrofie wrześniowej rozwija działalność na terenie ZSRR, gdzie jest deputowany do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego. Przerzucony do kraju dla nawiązania łączności z AL zginął w październiku 1941 r.

Dyrekcja postanowiła wygłodzić robotników Ściągnięto do Ozorkowa większe oddziały policji z Łodzi, które obstawiły fabrykę niedopuszczając do dostarczania robotnikom jedzenia. Przed fabryką zebrała się demonstracja rodzin bezrobotnych i strajkujących oraz dzieci. Demonstranci zajęli bojową postawę wobec policji. Policja skierowała na masy karabiny maszynowe i przypuściła szarżę raniąc 2 robotnice i 1-go żołnierza.

Przeciw odebraniu serwitutów

Grudzień 1933 r.

Pod przewodnictwem partii komunistycznej i KZM-u chłopi przystąpili do organizowania się do walki przeciw odebraniu im prawa łowienia ryb. Zostało wybranych po obu stronach Wisły do 20 komitetów. Komitety te wydają odezwy, ulotki, odbywają zebrania. W ten sposób chłopi przygotowują się do odparcia ataków na ich prawa W październiku kampania dalej się rozwinęła. Postanowiono — celem zademonstrowania woli chłopskiej do walki w obronie swoich interesów, jak również celem uczczenia 16-lecia rewolucji listopadowej wyjechać masowo na Wisłę. Dla przygotowania tej demonstracji — zostały między innymi wysłane wici w dół Wisły. Na trójkąty wetknięto czerwone sztandary i postawiono zakorkowane flaszki z odezwami. Chłopi, którzy byli na rzece lub zauważyli te wici z brzegu, podjeżdżali, przeczytali i puszczali dalej. Nikt nie ważył się zniszczyć tych wici, mobilizujących chłopów do walki przeciw faszyzmowi

W zakładach żyrardowskich

Styczeń 1934 r.

U nas na zakładach pracuje obecnie 1400 rob, z tego do 40 proc. młodzieży rozmieszczonej na różnych oddziałach. Położenie młodzieży jest okropne. Np. na oddziale szpinarów młodociany przyjęty na praktykę zarabia w przeciągu pierwszych kilku miesięcy 5 zł tygodniowo. Po pewnym czasie jak się dobrze sprawuje i majster przedstawi do dyrektora, dostaje podwyżkę o 1 zł. na tydzień. Dzień pracy trwa 9 godzin, a w piątek 14—15 godz., bo trzeba maszyny czyścić. Są u nas młodociani, którzy pracują już w zakładach 4 lata, a zarabiają 12 zł. tygodniowo. Praktyka trwa 6—7 lat, bo niby maszyn nie starczy dla młodocianych. Ubezpieczeń żadnych nie ma, urlopów również. Urlop można dostać ale bezpłatny. Redukcje są ciągle na porządku dziennym, jeśli się ktoś nie podoba majstrowi, to zaraz do kantoru i za bramę. Dyscyplina wojskowa, chociaż do żadnej wojskowej organizacji nie należymy.

W specjalnie niskich warunkach znajdują się młode robotnice z oddziału przygotowawczego. Pracuje tam około 70 robotnic w wieku 14—18 lat Przyjmowane są, gdy zakłady otrzymują zamówienia Przedtem poddawane są badaniu lekarskiemu. Zarabiają 5 zł tygodniowo Jak tylko mniej jest roboty, stawia się ich znów pod badanie lekarskie no, a potem marsz za bramę.

Robotnicy zakładów pod kierownictwem lewicy związkowej przystępują do walki przeciw atakom fabrykantów i rządu.

Lewica Zw. i KZM przygotowały tę walkę kilkoma masówkami i plakatami. Robotnicy zakładów przekonali się, że tylko walką można zmusić kapitalistów do ustępstw Zadaniem naszym jest zorganizować się. Wybrać szczerze robotniczą delegację fabryczną, w skład której weszli by i przedstawiciele młodzieży i przystąpić do walki o poprawę bytu.

ALEKSANDER DROŻDŻYŃSKI

WIELKA TRADYCJA

„Matusiu, pragniesz przecież mojego szczęścia, więc czemu płaczesz, gdy jestem szczęśliwa? Tak, mamo, ja nie kłamię, a szczerze mówię to, co czuję głęboko: jestem szczęśliwa,

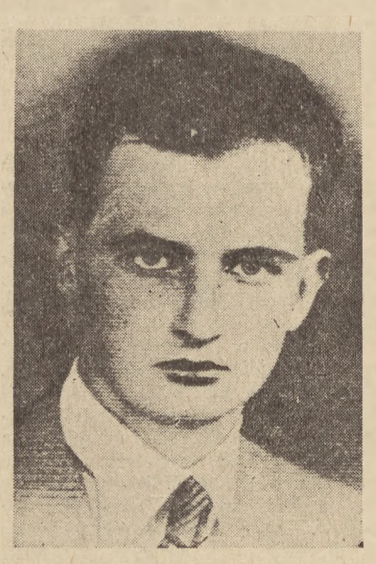

Franciszek Zubrzycki
„Mały Franek" członek KZM i „Życia" więzień polityczny sanacji, w okresie okupacji członek PPR i dowódca I-go oddziału partyzanckiego GL im. Stefana Czarneckiego. Zginął w walce z żandarmami w czerwcu 1942 roku.

taka szczęśliwa, jak mało kto na świecie. Czyż nie jest to szczęście najwyższe, jakie istnieć może: żyć i walczyć, walczyć z wiarą bezgraniczną w zwycięstwo, oddać ukochanej sprawie i walce wszystkie siły, całą duszę..."

Tak pisała do matki w roku 1928 z więzienia w Białymstoku Wiera Chorąży, działaczka KZM, aresztowana w roku 1925. Osiem lat więzienia nie zdołało ani na chwilę zachwiać bezgranicznej wiary w zwycięstwo, w przyszłość; nie zdołało przygasić żarliwego umiłowania życia. Bo kiedy po odzyskaniu wolności znalazła się w Związku Radzieckim, wszystkie siły oddaje Wiera Chorąży pracy w Komsomole. Ginie pod Witebskiem w 1942 roku na tyłach wroga przy organizowaniu ruchu partyzanckiego, Wiera Chorąży pełny, żarliwy, nieugięty człowiek — człowiek wychowany przez KZM.

„Gdybyś Ty widziała naszą jedność — opisywała Wiera Chorąży w innym liście z więzienia przebieg procesu — *naszą dumę rewolucyjną przed obliczem wroga, nieugiętość, siłę, wiarę i gorące pragnienie powiedzenia jeszcze i jeszcze, że nas nie skrępowano, nie złamano, że nasza sprawa jest niezwyciężona...."*

W szeregach KZM rosły setki ludzi, których młodość przypadła na ponure lata burżuazyjnej zdrady narodowej i zaprzaństwa wobec klas pracujących.

Na oczach tego pokolenia odbywa się bezładna wyprzedaż wolności kraju, kupczenie jego bogactwami, jego prawem do życia. Pokolenie to poznawało od dzieciństwa i najwcześniejszej młodości „dobrodziejstwa" ustroju, w którym masom narodu pozostało tylko prawo do nędzy, głodu i niewolniczej pracy.

Ale nie było warunków, nie było prześladowań, jakie zdolne byłyby złamać tę młodzież z KZM-u — nie pomagał tu cały, wyrafinowany system tropienia, węszenia, nękania, torturowania moralnego i fizycznego, „ulepszany" w ciągu długich lat przez burżuazyjny aparat ucisku. Nie pomógł, bo pomóc nie mógł — bo wszystko, co składało się na najśmielsze marzenia, na najgorętsze pragnienie ludzi żyjących i pracujących na polskiej ziemi było *programem walki komunistów.*

Nie dawali się łamać KZM-owcy, bo wychowywała ich partia komunistyczna, dla której nie było ofiary zbyt wielkiej, jeśli wymagały jej dobro ludu i dobro narodu. Przez wszystkie te lata walki jedyną zapłatą, jaką pobierali, była wiara w zwycięstwo, w wyzwolenie ludzi pracy. Z tą wiarą w sercu przyjmowali wyroki wieloletniego więzienia, z tą wiarą w sercu odmierzali dni mijające w celach, z tą wiarą szli na śmierć, pozostawiając testament, jaki przekazały już przed laty słowa Międzynarodówki.

Na wschód od polskich fabryk trwających w strajkach, na wschód od polskich pierwszomajowych demonstracji, na wschód od cel wszystkich Berez, Rawiczów i Wronek żył, tworzył, kuł swą siłę, pięciolatkami kraj wyzwolenia człowieka — Związek Radziecki. Z tej siły czerpali hart i wiarę prawdziwi ludzie, komuniści.

Dlatego właśnie wyrósł w szeregach KZM-u Samuel Engel, 19-letni łódzki robotnik, żołnierz powstania śląskiego. Aresztowany po wykonaniu wyroku śmierci na prowokatorze przebył w więzieniu tortury, które zamieniły jego ciało w strzępy, ale w liście przed śmiercią pisał: *„gdy roztoczy się przed waszymi oczami kwitnące pole — dumna nadzieja żywych — wspomnijcie rok 1924. A gdy przejdziecie obok mogiły, rzućcie na nią kwiat. Ja nie poczuję jego zapachu w te dni triumfu naszego, ale czuję go teraz..."*

Dlatego właśnie przedstawiciel młodzieży komunistycznej tow. Lapon*) mógł zapewnić partię, że *„na zew partii damy tysiące Englów, którzy z bronią w ręku będą bronili rewolucji w Polsce"* **)

Na zew partii stanęli i życie oddali, broniąc czystości szeregów partii, broniąc honoru klasy robotniczej Hibner, Kniewski i Rutkowski, Pilarczyk i Hajczyk.

Najpełniejsza prawda o nich wszystkich zawarła się w żarliwych słowach, które młody robotnik Botwin rzucił w twarz burżuazyjnym sędziom w obliczu czekającego go wyroku śmierci.

„Zostałem komunistą, gdyż komunizm wskazuje drogę do ludzkiego życia, do równości i szczęścia".

Tej samej prawdzie dał świadectwo komunista Marian Buczek — który 16-oma laty więzienia płacił Polsce Becków, Piłsudskich za swą walkę o Polskę ludu pracującego, a wyrwawszy się zza krat Rawicza,

Helena Aronowicz
długoletnia działaczka KZM i KPP skazana przez władze sanacyjne na 6 lat więzienia. Zamordowana w Białymstoku w 1941 roku przez hitlerowskiego okupanta.

oddał życie za wolność naszej ojczyzny, broniąc Warszawy w pierwszych dniach września 1939 r.

✠

Chciało by się dziś powiedzieć do całej młodzieży:

Jak KZM-owcy nie ustępujcie przed żadną trudnością.

Jak KZM-owcy bądźcie czujni na każdy atak wroga

Jak KZM-owcy miłujcie naszą ojczyznę.

Jak KZM-owcy dochowujcie wierności partii.

Bo oni walczyli i ginęli za szczęście naszego narodu, za naszą radosną młodość. I my ten sztandar ponieśmy dalej — do ostatecznego zwycięstwa.

Aleksander Drożdżyński

---

*) Maks Lapon — wybitny działacz KZM, sekretarz KC — zamęczony przez sanacyjnych siepaczy w więzieniu we Wronkach w kwietniu 1929 r

**) Ze stenogramu III Zjazdu KPP, sierpień 1925 r.

STANISŁAW DZIECHCIARUK

Powieść polityczna Arnolda Zweiga

Twórcą współczesnej postępowej powieści politycznej w Niemczech jest Henryk Mann. Pisarstwo jego stanowi w tym zakresie olbrzymi krok naprzód zarówno pod względem ideologicznym jak i artystycznym. On bowiem jest pionierem wielkiej epiki społecznej, poświęconej krytyce imperializmu niemieckiego, . której rozwój podążył na początku bieżącego stulecia w dwóch kierunkach: w jej to obrębie zrodziła się wielka niemiecka powieść realistyczna, poświęcona zarówno bezlitosnej demaskacji burżuazji niemieckiej w okresie imperializmu, jak i ukazywaniu rozwoju świadomości politycznej i społecznej w środowisku proletariackim. Kierunek powieści poświęconej w większości problematyce proletariackiej reprezentują: Fryderyk Wolf, Willi Bredel, Bertold Brecht, Anna Seghers i inni; wśród przedstawicieli zaś różnych odmian bezpośredniej krytyki burżuazji, spotykamy nazwiska Tomasza Manna, Liona Feuchtwangera i przede wszystkim — Arnolda Zweiga.

Działalność literacką Arnold Zweig rozpoczął jeszcze w epoce wilhelmińskiej. Jego pierwsze utwory powstały w chwili przygotowań do wojny imperialistycznej 1914 r. Po wojnie w miejsce cesarstwa powstała tzw. Republika Weimarska, której kres położyła niebawem dyktatura Hitlera. Wszystkie te trzy etapy w rozwoju niemieckiego imperializmu, znalazły obszerne, a niekiedy wyczerpujące odbicie w twórczości Zweiga.

Pisarz ten określił bardzo wcześnie swój postępowy pogląd na świat i sięgnął odważnie po tematykę społeczną. Po pierwszych próbach literackich („Nowele o Klaudii"), ukazują się utwory poświęcone problematyce przemian ideologiczno - społecznych, zachodzących w narodzie niemieckim, zwłaszcza zaś — wśród niemieckiej inteligencji. Pojawiają się cztery powieści, stanowiące część ogromnego cyklu epickiego, który nosi tytuł: „Wielka wojna białych ludzi", a mianowicie: w r. 1927 ukazuje się „Spór o sierżanta Griszę", w r. 1931 — „Młoda kobieta w roku 1914"; na emigracji powstają: „Wychowanie pod Verdun" (1935) i „Intronizacja króla" (1937). Analiza okresu pierwszej wojny światowej, ujawnienie istotnych przyczyn wojny imperialistycznej i związanych z nią przemian, dokonujących się w świadomości niemieckiej inteligencji — to tematyka tego cyklu powieściowego.

W okresie Trzeciej Rzeszy Zweig przebywał, podobnie jak i wielu innych postępowych pisarzy niemieckich, na emigracji, gdzie powstało wiele nowych pozycji w jego dorobku literackim. Na szczególne wyróżnienie zasługuje, obok wymienionych już dwóch tomów tetralogii, powieść pt. „Topór z Wandsbek"*) Pierwszy jej szkic powstał w r. 1938; pracę nad powieścią ostatecznie ukończył autor w Palestynie w r. 1943.

Problematykę okresu dyktatury hitlerowskiej podjęło wielu pisarzy niemieckich; żaden z nich jednak, prócz Anny Seghers, nie zdobył się na tak dogłębne i precyzyjne oświetlenie najistotniejszych dla tego tragicznego okresu zagadnień, jak autor „Topora". Zweig sięgnął w tej powieści do najciemniejszych kart historii narodu niemieckiego; ukazał moment największego nasilenia ideologii faszystowskiej w przededniu drugiej wojny światowej. Nieduży okres czasowy i zacieśnione tło przestrzenne (akcja powieści toczy się w latach 1937 — 1938 w Hamburgu) uwarunkowały w tym utworze przeprowadzenie bardzo wnikliwej analizy zjawisk tego okresu, a zwłaszcza — zagadnienia ideologicznych i politycznych przemian, zachodzących wśród inteligencji mieszczańskiej, zagadnienia, stanowiącego stały motyw twórczości Zweiga.

Fabułę „Topora" cechuje duża przejrzystość. Ośrodek akcji stanowi sprawa czterech skazanych na śmierć antyfaszystów niemieckich. W związku z tym wyłania się konieczność wynalezienia kata. Wybór pada na Alberta Teetjena, rzeźnika z Wandsbek. Teetjen, członek partii narodowo - socjalistycznej, za namową kolegi z okresu walk w r. 1914, składa się do wykonania wyroku. Całą sprawę rozstrzyga ostatecznie suma dwóch tysięcy marek, jaka czeka wykonawcę. Pod odziedziczonym po dziadku toporem, opuszczonym czterokrotnie wprawną ręką rzeźnika Teetjena, padają głowy skazańców. Zbrodniarza spotykają jednak nieprzewidziane następstwa. Oto mimo wielkiej tajemnicy, jaką otoczono sprawę egzekucji, ludność miasta dowiaduje się wkrótce, kto stał się wykonawcą wyroku na skazańcach. Sąsiedzi bojkotują masarnię Teetjena, co doprowadza go do ruiny, a ostatecznie do samobójczej śmierci obojga Teetjenów.

Sprawa skazańców i związane z nią perypetie losu małżeństwa Teetjenów nie wyczerpują jednak zawartości „Topora z Wandsbek". Wachlarz tematyczny tej epopei społecznej jest bowiem o wiele szerszy. Niezależność i oderwanie od wątku głównego szeregu epizodów drugorzędnych są, jak się wydaje, tylko pozorne. W istocie bowiem mamy tu do czynienia z charakterystyczną metodą twórczą Zweiga, polegającą na stwarzaniu szerokiego obrazu epoki drogą łączenia najróżnorodniejszych „motywów pobocznych" z motywem głównym, drogą komponowania wielkiej epickiej panoramy przy pomocy licznych szczegółów i epizodów. I tu należy podkreślić, że w przeciwieństwie do schematyczności i pewnej powierzchowności, z jaką kreślone są niektóre postacie i sytuacje w powieściach Bredla, twórczość Zweiga, a przede wszystkim „Topór z Wandsbek", cechuje mistrzowska wprost umiejętność drobiazgowego i precyzyjnego „wykończenia" przedstawionych obrazów i sytuacji.

Rysując bogatą galerię postaci, Zweig zamierzał przede wszystkim ukazać przedstawicieli różnych klas społecznych, zaznaczyć przyczyny psychiczne i ideowe upadku i zwyrodnienia Niemiec, do którego doprowadziła dyktatura Hitlera. Doskonale podmalowane tło historyczne, bogactwo realiów politycznych i obyczajowych stanowią o udanym wykonaniu tego zamysłu w „Toporze z Wandsbek". Powieść ukazuje nam upadlenie i zezwierzęcenie sfaszyzowanego drobnomieszczaństwa niemieckiego w osobie rzeźnika Teetjena; przedstawia kulisy „brudnej roboty" politycznej w Niemczech Hitlera; zatrzymuje na długo i w sposób zasadniczy uwagę czytelnika na problemach chwiejności mieszczańskiej inteligencji niemieckiej, która odczuwała już nienawiść do faszyzmu, ale nie umiała jeszcze podjąć zdecydowanej z nim walki w oparciu o ruch masowy. Inteligencję tę cechowały złudzenia bezżebnego mieszczańskiego humanitaryzmu, które pozwalały na doradzanie więźniom - antyfaszystom złożenia... prośby o ułaskawienie; w praktyce znamionowała ją bierność i bezsilność. Z ironicznym uśmiechem potraktował bowiem Zweig inteligenckich „spiskowców", dążących do bliżej nieokreślonego zamachu stanu bez oparcia o szersze siły społeczne.

O ile ustępy poświęcone roztoczeniu panoramy Niemiec hitlerowskich i krytyce faszyzmu skreślone zostały z olbrzymią wnikliwością i pasją, o tyle partie powieści — traktujące o postaciach pozytywnych wypadły słabiej. Autor z wielką siłą artystycznego wyrazu i dużym obiektywizmem potrafił przeprowadzić rozrachunek z Niemcami okresu Trzeciej Rzeszy; nie potrafił jednak utrzymać się na tym poziomie w rysowaniu pozytywu powieści. Sprawę bowiem wspomnianych już czterech antyfaszystów potraktował Zweig niestety dość epizodycznie. Momenty powieści mające nas zapoznać z Fryderykiem Timme i jego współtowarzyszami noszą jednak pewne znamiona przypadkowości. Ta dysproporcja, jaką autor mimowolnie zapewne stwarza w przedstawieniu układu działających sił społecznych, może budzić w czytelniku „Topora" pewne, przeakcentowane nastroje pesymistyczne. Ale Zweig żarliwie wierzy w zwycięstwo proletariatu w Niemczech. Wyrazem tej niezachwianej wiary są przedśmiertne słowa Fryderyka Timme, skierowane do kata i oprawców: *„Wy wszyscy zobaczycie, co z tego dla was wyniknie, zwłaszcza ty, biedny durniu, wszyscy utoniecie w mojej krwi, a potem my znowu przyjdziemy"*.

W sposób bez porównania pełniejszy i szerszy w wielu artystycznych uogólnieniach ukazana została w tej powieści Zweiga internacjonalistyczna więź proletariatu i rola Związku Radzieckiego w rozwoju ludzkości. Nadzieję na lepszą przyszłość wiąże autor „Topora z Wandsbek" nierozerwalnie ze Związkiem Radzieckim: *„Bagno sięga nam w tej chwili po biodra* — mówi więzień Mengers — *ale pod spodem jest mocny cement. Pewnego dnia niemiecki dom znowu się oczyści. Związek Radziecki wyciągnie nas z tego bagna, Rosjanie nas nie opuszczą"*.

Spełniły się słowa gorącej, nieugiętej wiary niemieckiego antyfaszysty. Symbolem opiekuńczej roli Związku Radzieckiego w walce proletariatu całego świata są w epilogu powieści cztery statki radzieckie, noszące imiona czterech ofiar procesu w Reeperbahn, które zawijają do portu hamburskiego. Jest to zarazem wielki polityczny symbol powieści, wskazujący na przyjaźń i braterstwo, jakie łączą demokratyczne Niemcy ze wszystkimi miłującymi pokój narodami świata.

Stanisław Dziechciaruk

**) Arnold Zweig, Topór z Wandsbek, przekład autoryzowany Edyty Sicińskiej, tom I — str. 349, tom II — str. 279, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951.*

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

JAK PRZYGOTOWUJE SIĘ WOJNY

ŚWIETNY publicysta niemiecki, Albert Norden, w przetłumaczonej ostatnio na język polski publikacji **„Jak przygotowuje się wojny"***) — odsłania za pomocą najbardziej przekonywającego języka, języka faktów i bezpośrednich, oficjalnych wypowiedzi imperialistycznych podżegaczy mechanizm rodzenia się agresywnych wojen.

Musimy bowiem wiedzieć i uświadamiać sobie, że imperialiści Stanów Zjednoczonych, to nie tylko pojętni i o wiele bardziej zaawansowani uczniowie i pogrobowcy hitleryzmu, ale również jego prekursorzy jeszcze z końca XIX w. i jego inicjatorzy i inspiratorzy z lat międzywojennego dwudziestolecia. Na wszystkie te trzy etapy działalności USA wskazuje Norden w swej książce.

*

„Nowe stulecie jeszcze się nie zaczęło, gdy już znaczne amerykańskie kapitały wyruszyły w świat w poszukiwaniu zysków.

....Tam gdzie w grę wchodziły interesy naftowe Rockefellera, wprowadzano rząd uległy Stanom Zjednoczonym, choćby nawet ludność jak najbardziej zdecydowanie przeciwko temu protestowała. Tam gdzie wielkie banki nowojorskie w pogoni za wysokim oprocentowaniem inwestowały swoje fundusze, gdzie udzielały pożyczek w celu zawładnięcia dochodami z ceł, podatków oraz całych gałęzi gospodarki, pojawiały się wszędzie okręty wojenne Stanów Zjednoczonych, niosąc mord i pożogę, a ich bomby i granaty nadawały argumentom magnatów finansowych konieczną siłę przekonywającą. Tam gdzie na obce ziemie padł chciwy wzrok magnatów trustu cukrowego, rozpoczynała się bezlitosna kampania wojenna, trwająca dopóty, dopóki narody nie padały na kolana przed władcami Stanów Zjednoczonych. Rząd i aparat państwowy stały się bezpośrednimi wykonawcami woli trustów. Flaga wojenna postępowała w ślad za handlem".

*

Nowym bodźcem dla rosnącej agresywności światowego imperializmu, bodźcem zaskakującym kapitalizm i wstrząsającym jego posadami, a którego początkowo wprost nie potrafił pojąć i zrozumieć, było powstanie Kraju Rad, pierwszej na świecie władzy robotników i pracujących chłopów.

Nieunikniona w świecie imperializmu agresywność — przybiera teraz zdecydowanie na ostrości i napięciu. Wszystkie wysiłki imperializmu koncentrują się w jednym kierunku — ujarzmienia Kraju Rad, aby niedopuścić do wypadnięcia nowych ogniw ze światowego frontu kapitału. Przede wszystkim kapitaliści z USA stają się duchowym i finansowym patronem wszystkich wojennych poczynań, które gdziekolwiek by nie wybuchły, uderzają w narody, w masy pracujące i ideologię socjalizmu.

Generał Henry T. Allen, główny dowódca amerykańskich sił zbrojnych w Niemczech po pierwszej wojnie światowej — 15. I. 1920 r. następująco precyzował wytyczne ówczesnej polityki USA:

„Im bardziej zastanawiam się nad utworzeniem państwa polskiego i nad nieudzieleniem Niemcom pozwolenia na ekspansję w kierunku wschodnim, tym mocniejszego nabieram przekonania, że... zastosowano tu fałszywą politykę. Państwem najbardziej zdolnym do skutecznej walki z bolszewizmem są Niemcy... Rozszerzenie terytorium państwowego Niemiec na obszary rosyjskie zaprzątnęło by na długi czas uwagę Niemców i tym samym zmniejszyło by napięcie na Zachodzie".

„Europa Zachodnia powinna pozwolić na ekspansję Niemiec na wschód, przewidując, że w ten sposób dojdzie do konfliktu Niemców z Rosjanami, przez co zmniejszyło by się wydatnie nacisk w kierunku zachodnim".

Nie dziwi więc wcale fakt, że Stany Zjednoczone, „jako ostatnie ze wszystkich wielkich mocarstw, nawiązały stosunki dyplomatyczne z ZSRR, dopiero w 1933 r., gdy obrano prezydentem Roosevelta".

Nie dziwi też wcale fakt, że „wielcy bankierzy amerykańscy finansowali niemieckich królów armat, a ci z kolei finansowali Hitlera".

Nie dziwi również postępowanie kapitału międzynarodowego w obliczu hitlerowskiej ingerencji w Hiszpanii. Zarówno bowiem jego postawa, jak i sam fakt ingerencji uwarunkowane były splotem wielkokapitalistycznych interesów Niemiec, W. Brytanii i Francji, których firmy „zainwestowały poważne kapitały w Hiszpanii i obawiały się strat w razie zwycięstwa hiszpańskiego frontu ludowego, który dążył do nacjonalizacji bogactw naturalnych kraju",

Dodatkowym zyskiem było, w razie powodzenia agresji — osadzenia faszystowskiego, arcychrześcijańskiego i arcyantybolszewickiego sprzymierzeńca w południowej części Europy. Ówczesny wiceprzewodniczący francuskiej Najwyższej Rady Obrony, gen. Weygand w przedmowie do książki omawiającej wypadki wojenne w Hiszpanii, a wydanej z usłużną skwapliwością przez Goebbelsa, szefa hitlerowskiej propagandy — tak pisał o Franco:

„Na ich czele stoi człowiek, stoi wódz, pałający gorącą miłością ojczyzny. Jego stanowisko w dziedzinie politycznej jest prostolinijne i odważne".

Czy może dziwić ta opinia? Wydał ją przecież ten sam gen. Weygand, który kierował w Polsce w r. 1920 podjętą przez Piłsudskiego interwencją przeciwko Republice Radzieckiej. Ten sam gen. Weygand, który w latach 1939 — 1940, kiedy Hitler przygotowywał atak na wolność i niepodległość narodu francuskiego, „organizował w Azji Mniejszej armię dla dokonania inwazji na Związek Radziecki".

Koroną tej nieustającej polityki nienawiści do ZSRR a popierania wszystkich i wszystkiego, co może służyć walce z proletariatem i socjalizmem są uchwalone przez Senat i Izbę Reprezentantów USA w sierpniu 1950 r. wielkie kredyty dla Franco, który w swym państwie służalczo urzeczywistnia imperialistyczne i watykańskie zasady walki — „zdelegalizował partie robotnicze, związki zawodowe a nawet pozbawił praw demokratów burżuazyjnych; po dzień dzisiejszy zabrania ewangelikom i Żydom publicznego odprawiania nabożeństw".

Gdy nadszedł rok 1937 międzynarodowy kapitał oddaje Hitlerowi Austrię a w r. 1938 poświęca Czechosłowację — w cichej i błogiej nadziei wychowania psa łańcuchowego, który w końcu rzuci się na proletariacki Związek Radziecki.

*

W gangsterskiej krucjacie, rozpętanej przez Hitlera we wrześniu 1939 r. — wspomaga go od początku kapitał amerykański. Czytamy na ten temat u Nordena:

„O bliskich stosunkach łączących panów gospodarki hitlerowskiej z firmą Dillon-Read świadczy na przykład fakt, **że z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej niemieccy królowie gazu trującego z I. G. Farben upatrzyli prezesa tego banku, Jamesa Forrestala.. na kierownika największego ich przedsiębiorstwa w Ameryce,** General Aniline and Film Corporration. W ciągu pierwszych 2 lat wojny General Aniline pod kierownictwem Forrestala zaopatrywało drogą przez Amerykę Południową niemieckich faszystów w ważne i cenne materiały zbrojeniowe".

I nie tylko General Aniline. W roku 1942 pewien amerykański senator oskarżył największy trust amerykański o zdradę stanu: „Nawet po naszym przystąpieniu do wojny Standard Oil starał się wszelkimi sposobami zapewnić Niemcom kontrolę nad materiałami wojennymi o życiowym wprost znaczeniu".

Norden komentuje: „To poważne oskarżenie rzucił 27 marca 1942 r. nie kto inny, jak podówczas jeszcze senator, a dziś prezydent Truman, który od tej pory sam spadł do roli wykonawcy zleceń Standard Oil".

„Druga wojna światowa pochłonęła niemal 38 milionów ofiar ludzkich" — pisze Norden. Ale straty wojenne Stanów Zjednoczonych w zabitych wyniosły mniej niż 300.000 (a więc tyle ile notuje w ciągu roku amerykańska statystyka wypadków w komunikacji) podczas gdy zyski wojenne trustów osiągnęły sumę 53 miliardów dolarów..."

*

Na przełomie lat 1946 — 1947 oznaki kryzysu przyjmują w Stanach Zjednoczonych niepokojące rozmiary. 8 czerwca 1947 r. Marshall ogłasza w Harvard swój wielki plan uratowania kapitału, amerykańskich trustów, koncernów, syndykatów, karteli. Wszystko to oczywista przy wielkim i podniosłym biciu w bębny humanitaryzmu amerykańskiego. 8 lutego 1949 r. Paweł Hofmann, władca koncernu samochodowego Studebaker i administrator planu Marshalla sam zmywa jednak farbę z filantropijnej fasady planu, oświadczając przed senacką komisją spraw zagranicznych:

„Jeśli uda się Amerykanom w dalszym ciągu kontynuować plan Marshalla w dotychczasowej formie, **będzie to najlepszy interes w historii Stanów Zjednoczonych".**

Ale czy pamiętacie jakie sposoby stosuje imperializm na rosnące trudności gospodarcze okresu umierającego kapitalizmu? „Nie ma... innego sposobu na to, jak wkroczenie do państw obcych i zagarnięcie obcych majątków".

„Do wiosny 1950 r. państwa znajdujące się w orbicie planu Marshalla otrzymały od Stanów Zjednoczonych 8,6 miliarda dolarów. Większą część tej sumy zmuszone były przeznaczyć na zakupy w Stanach Zjednoczonych, pozostałą zaś musiały pod presją Stanów wpakować w produkcję zbrojeniową. Dotacje planu Marshalla okazały się prawdziwym darem Danaów".

Na tym jednak nie koniec. Prawdziwym benjaminkiem imperialistycznej Ameryki, której przewodnią ideę, nić Ariadny w labiryncie narastających sprzeczności umierającego kapitalizmu, stanowi nienawiść do Związku Radzieckiego — jest odradzany Wehrmacht hitlerowski i jego piastunka - żywicielka, wielki kapitał finansowy Essen, Ruhry, Duisburga.

Na tego konia postawiły Stany Zjednoczone niemal nazajutrz po rozbiciu przez Związek Radziecki faszystowskiej machiny wojennej. Nie wysechł jeszcze atrament — pisze Norden — na dokumencie podpisanym 2 sierpnia 1945 r. przez Trumana w Poczdamie, a już władze amerykańskie rozpoczęły sabotaż.

Nie mogli poradzić uczciwi senatorowie, nawołujący do przestrzegania postanowień układu poczdamskiego.

W lipcu 1947 r. szef Wydziału dla Spraw Dekartelizacji amerykańskiego zarządu wojskowego w Niemczech James Martin zrezygnował ze swych funkcji i złożył jednocześnie ostre oświadczenie:

„Ustępuję na znak protestu przeciwko machinacjom amerykańskich towarzystw w Niemczech".

W marcu 1948 r. gen. Clay głównodowodzący wojsk okupacyjnych w Niemczech „wezwał do siebie nowego kierownika Wydziału do Spraw Dekartelizacji R. Bronsona i rozkazał mu „wstrzymać natychmiast wykonanie wszelkich zarządzeń wydanych w celu rozbicia monopoli i rozwiązania trustów".

Konsekwencją tej polityki było przejście od metod zimnej wojny do bezpośredniej agresji w czerwcu 1950 r. Taką jest gangsterska logika imperializmu; od prowakacyjnej napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę we wrześniu 1939 r. do równie prowokacyjnej napaści Stanów na Północną Koreę w 1950 r. Wojna staje się nową okazją zysku i ostatnim wybiegiem dla faszystowskiego przemysłu.

Książka, niezwykle dla nas cennego publicysty. Nordena, spełnia wielką rolę demaskatorską — realizując umieszczoną przez autora jako motto cytatę z przemówienia Lenina: **„Należy wyjaśnić ludziom rzeczywistą syutację: w jak wielkiej tajemnicy rodzi się wojna...."**

Władysław Leszczyński

**) A Norden: Jak przygotowuje się wojny. KiW, Warszawa 1951, str. 192 2 zł.*

MARCELI RANICKI

LOSY „SZAREGO CZŁOWIEKA"

Opublikowana u nas ostatnio w tłumaczeniu powieść Marii Frischauf „Szary człowiek"*) jest utworem zasługującym na szczególną uwagę. Jest to bowiem pierwsza pozycja beletrystyczna przełożona na język polski z powojennej literatury austriackiej; książka o tematyce mało u nas znanej: Austria w okresie „Anschlussu", w przełomowych latach 1937-38.

Historia Austrii lat międzywojennych, historia małej republiki, liczącej sześć milionów mieszkańców — ukazuje nam, jakby w odróconych, zmniejszających szkłach lornetki, charakterystyczne sprzeczności świata kapitalistycznego po pierwszej wojnie.

W państwie powstałym na gruzach przegniłej i zmurszałej monarchii habsburskiej, silny proletariat zrywał się do rewolucyjnej walki o wolność i sprawiedliwość. Austriackiej klasie robotniczej, ofiarnej i patriotycznej, przeciwstawiała się rodzima burżuazja, zdecydowana na przymierze z każdym, kto przyrzeka obronę jej stanu posiadania. Prawicowa socjaldemokracja, w myśl nikczemnych, długoletnich tradycji wiernego agenta burżuazji, systematycznie usypiała rewolucyjny zapał austriackich robotników, skupionych w ośrodkach przemysłowych Linz i Graz, a przede wszystkim w dwumilionowej stolicy, w Wiedniu.

Obraz sytuacji politycznej w Austrii lat międzywojennych uzmysławiają nam pamiętne wypadki lutego 1934 r. Gdy robotnicy powstali przeciwko arcyreakcyjnemu rządowi kanclerza Dollfussa, który chciał siłą zbrojną zdławić do reszty demokrację austriacką, doszło do zaciętych walk, trwających kilka tygodni. Ale zdrada przywódców socjaldemokracji udaremniła bohaterskie wysiłki robotników austriackich: opór powstańców, którzy nie mieli dostatecznej ilości broni, załamał się po trzech czy czterech tygodniach. Interesujący obraz walk w lutym 1934 roku przekazuje książka Anny Seghers „Der Weg durch den Februar", której jak dotąd nie przetłumaczono na język polski. Powinna się ona u nas ukazać, jako jeden z nielicznych utworów beletrystycznych, oświetlających bohaterskie zmagania austriackiej klasy robotniczej w tym okresie.

Marzec 1938 r. to ostateczne podsumowanie polityki obozu zdrady narodowej, haniebnego sojuszu prawicowej socjaldemokracji z burżuazją: utrata niepodległości Austrii, wkroczenie brunatnych hord Hitlera do Wiednia, „Anschluss" Austrii — nazwanej przez goebbelsowską propagandę na wzór starogermański „Ostmark" — do Trzeciej Rzeszy. Do okresu tego przenosi nas powieść Marii Frischauf, postępowej pisarki austriackiej starszego pokolenia, czynnej działaczki Komunistycznej Partii Austrii.

Tematem powieści, której akcja jest prosta i nieskomplikowana, jest historia małżeństwa Gellnerów. Wilhelm Gellner, z zawodu elektrotechnik, jest człowiekiem słabym o bardzo skromnym horyzoncie umysłowym. W roku kryzysu 1937 staje się on — jak dziesiątki tysięcy innych Austriaków — bezrobotnym i znajdując się w skrajnej nędzy postanawia, wraz ze swą młodą żoną Krystyną, popełnić samobójstwo. Przypadkowo nawiązana znajomość z robotnikiem Kornauerem, odważnym działaczem komunistycznym, wpływa jednak na zmianę postanowienia młodego małżeństwa, które wegetuje głodując i męcząc się. Słowa Kornauera, starającego się wyklarować Gellenerowi, że poprawa jego opłakanych warunków ekonomicznych możliwa jest tylko poprzez wspólną walkę wszystkich wyzyskiwanych — nie docierają jednak do drobnomieszczańskiej mentalności byłego właściciela sklepu elektrotechnicznego. Dobitniej przemawia do niego oszukańcza frazeologia hitleryzmu: Wilhelm staje się łatwą zdobyczą austriackich nazistów. Krystyną, opuszczoną przez męża plądrującego wiedeńskie mieszkania, opiekuje się Kornauer, który uporczywie kontynuuje rewolucyjną walkę w warunkach nielegalnych. — W czasie wojny Wilhelm zostaje powołany do wojska i ginie „haniebną śmiercią bohatera za sprawę, w którą nigdy całkowicie nie wierzył".

Wartość literacka utworu Marii Frischauf budzi niekiedy wątpliwości. Autorka ma niewątpliwie zdolności narracyjne, o czym świadczą liczne partie opisowe książki. Płynna, gładka narracja sprawia, że „Szary człowiek" jest lekturą zajmującą i lekką. Gorzej przedstawia się sprawa z dialogami, które brzmią często sztucznie, niekiedy banalnie.

Najlepsze części książki Marii Frischauf składają się z partii, w których autorka daje sugestywny obraz nędzy Gellnerów, w których potrafi plastycznie odmalować ich rozpaczliwą sytuację w kapitalistycznej Austrii. Nie dając w swej powieści szerokiego tła historyczno - społecznego, a skupiając swoją uwagę na losach „szarych ludzi", takich jak Gellner i jego żona — autorka trafnie ukazuje dwie odmienne drogi narodu austriackiego: drogę Gellnera, nędznego sługusa hitlerowskiego, aparatu ucisku i drogę Kornauera, mężnego bojownika sprawy ludu.

Toteż główna wartość tej powieści tkwi w jej wymowie społecznej, w jej wydźwięku aktualno - politycznym. Decyzja, przed jaką stoi dziś „szary człowiek" w Austrii, mocno przypomina dylemat, przed którym postawiła Maria Frischauf swego bohatera Gellnera. Tak jak wówczas hitleryzm, tak dziś anglo - amerykański imperializm wyciąga swe ręce po Gellnerów, ludzi słabych i chwiejnych. Ale w Austrii dzisiejszej, w Austrii sztucznie podzielonej na strefy i rozdartej sprzecznościami ginącego świata kapitalistycznego, lud jest bogatszy w doświadczenia, niż przed kilkunastu laty. Lud austriacki bowiem wybiera drogę Kornauera.

*

Książka została w polskim przekładzie starannie wydana. Tłumaczenie Zofii Petersowej, potoczyste i wyróżniające się bogatym słownictwem, zasługuje na specjalne wyróżnienie. Niestety jednak wydawnictwo nie zaopatrzyło książki we wstęp czy posłowie.

W wypadku „Szarego człowieka" brak wstępu jest szczególnie rażący. Czytelnik nie wie, jakiej narodowości jest autorka i jedynie z treści powieści może się domyślić, że jest ona Austriaczką; nie wie, czy ma do czynienia z utworem debiutantki, czy też pisarki starszego pokolenia, nie mówiąc już o tym, że wydawnictwo — wprowadzając na rynek czytelniczy nieznaną u nas autorkę — powinno się poczuwać do obowiązku poinformowania, choćby w kilku zdaniach, o całokształcie jej twórczości literackiej i działalności społecznej.

Także temat powieści wymaga pewnego wprowadzenia. Trudno domagać się od przeciętnego czytelnika, by orientował się szczegółowo w sytuacji w Austrii z 1937 roku, a orientacja taka jest przecież nieodzowna dla właściwego zrozumienia powieści Marii Frischauf, powieści, która ukazując tragedię „szarego człowieka" w Austrii sprzed kilkunastu lat, jest właśnie dzisiaj książką o dużej aktualności politycznej.

Marceli Ranicki

**) Maria Frischauf: „Szary człowiek", przekład Zofii Petersowej, okładkę i obwolutę projektował Tadeusz Niemirski ,str. 256, Wydawnictwo Gebethner i Wolff, Warszawa 1951 r.*

JANINA BRZOSTOWSKA

STANISŁAWA KUNICKIEGO ŻYCIORYS

(W 66-tą rocznicę stracenia czterech „Proletariatczyków")

I

Był z tych, którzy nie znają lęku — najmężniejsi!
Takim nieraz lud każe w chmurnej ożyć pieśni,
I niesie pieśń przez wieki i przez pokolenia,
Tak, jak niosą sztafety krwawy blask płomienia...

Urodzony w dalekim Tyflisie, pod niebem,
Które szczyty Kaukazu pozdrawiają śniegiem,
Wcześnie ze słów gruzińskich, śmiałych partyzantów
Zrozumiał, czym jest władza i przemoc caratu.

Gdy ojciec pod cedrami rannych opatrywał,
Chłopak kładł ich ostrożnie na miękkim igliwiu,
I nieraz mu tłukcza, stary woziwoda,
O ich krzywdzie słów kilka, jak broń celnych, podał...

Tak się walki od dziecka uczył. I nie przestał
Pragnąć jej — gniew spiskowców nauczał go męstwa.
Krew się klei do złota, jęk jest echem pychy:
Słuchał: jednym się stały i krew, i jęk cichy.

II

Gruzińska piosenka
Te czasy pamięta:

Żałobnie wspomina
Najśmielszych swych synów...

Dziś leci wysoko
Swobodna jak sokół —

Radosna i dumna
Wysławia Stalina!

III

Kunicki:
Po latach — w Petersburgu — poznał towarzyszy
Rosyjskich socjalistów. Wraz z nimi poprzysiągł
Dochodzić sprawiedliwej miary dla skrzywdzonych:
Odtąd wrastał w tok dziejów, jak głos wrasta w struny.

Nieugięty przed wrogiem — dla braci Moskali
Miał serce jak dla swoich. Ten sam się w nich palił
Płomień wielkiej ofiary... Nie szukali granic
Ani burzy nie siali między narodami.

I oni go jak brata przyjęli. Dotrzymać
Umiał kroku, i karku przed wrogiem nie zginał.
Młodości swej nie szczędząc, wybrał los surowy —
I chleb swój z nimi dzielił i ciężkie okowy.

Nie zdołała go w drodze zatrzymać dziewczyna...
Szedł z klasą robotniczą: „Cała moja wina
Wielka miłość dla ludu. Dla jego wolności
Gotów jestem krew przelać..." wyznawał najprościej.

IV

Po Waryńskim wziął Partii kierownictwo. Nieraz
Zdawał mu sprawę z pracy w listach do więzienia...
Warszawskiej Cytadeli Dziesiąty Pawilon
Czekał tych listów: serce oddane w nich biło!

Gdy w lęku żyła matka i tęsknił brat mały,
Partii dni swe poświęcał — szedł gdzie iść kazała.
Nieraz głowę narażał, choć jak my gorąco
Kochał życie, i ludzi, i światło w ich oczach...

Znacie karty historii — może pamiętacie
Jak sam jeden do piwnic pod Prokuraturą
Dostał się, aby zniszczyć dokumenty, które
Służyć miały za dowód przeciw towarzyszom...

W strajkach, buntach do walki ze zdradą gotowy,
Ażeby zmylić ślady włosy ufarbował,
I jako „rudy Grzegorz", piechur tajnych szlaków,
Szedł do fabryk, jak pierwszy żołnierz do ataku.

Aż i jego dosięgła chciwa ręka wroga
I zakuła w żelaza. Przeciw władzy cara
Stawał z towarzyszami — a na takich kara
Nigdy nie dość wymyślna i nie dosyć sroga.

V

Ich czyn? — to przygotowanie
Drogi ku wielkim przemianom.

To żądanie praw dla klasy,
Która jeszcze jest pariasem.

Lecz już śmiała myślą sięga
Wysokiego widnokręgu.

Ponad którym czysto wschodzi
Świetna gwiazda socjalizmu!

VI

Wielki proces... Przed sądem dwudziestu dziewięciu
Którzy się nie poddadzą nigdy! Choć ujęci
Śmierć mając przed oczami, choć w kajdany skuci,
Jeszcze swoim przykładem służą rewolucji!

Przed wspólnym wrogiem nie drżał żaden z nich: Kunicki —
Pietrusiński, Ossowski — młodzi robotnicy,
Bardowski — sędzia Rosjanin — ci czterej
Winę wzięli na siebie... A za nimi szereg

Najśmielszych... Odpowiadał wraz z nimi Waryński
Sprowadzony z więzienia — towarzyszom wszystkim
Wzór dając: nieugiętą przywódcy postawą —
Przez niego „Proletariat" sądził carskie prawo:

„Niech się wszyscy dowiedzą za cośmy walczyli,
I za co dziś giniemy! To przez nas w tej chwili
Częstochowa, Łódź, Piotrków — pierwsza linia frontu
Nabrzmiewa rewolucją — jak podziemnym grzmotem!"

VII

Dwudziesty ósmy stycznia — rok tysiąc osiemset
Osiemdziesiąty szósty... W mgle przedświtu gęstej
Śnieg prószy, biją wolno warszawskie zegary...
Ludzie biegną w tę stronę — tłum postaci szarych...

Na stokach Cytadeli cztery szubienice.
Płacz kobiet — ale razem tłumu poszept groźny...
Bicie serc, które za chwilę ucichną —
Bo na krzywdzie i zbrodniach wspiera się świat możnych.

Jak trudno żegnać bliskich, gdy giną tak wcześnie!
Jak ciężko ich imiona w listy strat wpisywać!
O, pomyślcie wy, młodzi, w latach im rówieśni,
Że dla was, z myślą o was, śmierć wówczas ponieśli!

Ślady ich kroków śniegu podmuchy oprzędły,
Czas starł dotknięcie palców z krat więziennej celi,
A jednak i dziś jeszcze gdy idziesz tamtędy,
Szukasz ich, pod wysokim murem Cytadeli...

Zostały resztki słupów, na których zawiśli,
Marmurowe tablice... pamiątki Warszawy
Przez męstwo bohaterów droższej nam i bliższej
Niż przez królów bogactwa i wodzów wyprawy!

Redaktorze „Walki klas"! Tobie był bliski
Braterski sojusz ludów: polskiego z rosyjskim...
Wszak nieraz powtarzałeś: Nie jesteśmy sami!
Lud rosyjski jest z nami! Pójdzie razem z nami!

Spełniły się twe słowa! W przeszłość odpłynęła
Przemoc carów — a żyje wielkość tego dzieła
Za które dałeś życie! Na historii kartach
Po dziś żyje i walczy „Wielki Proletariat"!

Dziś nazwana imieniem twym fabryka łódzka
Dla rzeszy robotników tka najbielsze płótna...
Lecz dobrze pamiętamy łachmany i zdradę,
Które łaska magnatów na ich barki kładła...

Przez tę pamięć, za wielkie dni naszych zwycięstwa,
Czcimy dzisiaj śmierć waszą i niezłomne męstwo
Jak czerwonym sztandarem wysoko wzniesionym,
Bijąc rekordy pracy, przekraczając normy!

TADEUSZ STRUMFF

SIEDEM LAT OD POCZDAMU

JESTEŚMY, jeśli pan chce, politykami szczególnego rodzaju. Są politycy, którzy dziś przyrzekają czy oświadczają jedno, nazajutrz zaś albo zapominają o tym, co oświadczyli, albo temu przeczą i przy tym nawet się nie zarumienią. My w ten sposób nie możemy postępować. To, co się robi na zewnątrz, nieuchronnie staje się znane również wewnątrz kraju. Staje się znane wszystkim robotnikom i chłopom. Gdybyśmy mówili jedno, a robili co innego, stracilibyśmy nasz autorytet wśród mas ludowych" — tak mówił 21 lat temu Józef Stalin w rozmowie z niemieckim pisarzem Emilem Ludwigiem.

Ta polityka **rzetelnego rodzaju** bywa specjalnie niebezpieczna dla różnej maści zdrajców narodowych, „socjalistów", „obrońców ludu" itp. Ta polityka **rzetelnego rodzaju** stawia przed nimi najprostsze i najbardziej jasne pytania, od jakich niesposób uchylić się łgarstwem i obłudą. Można, oczywiście, próbować — ale narody bywają mądrzejsze niż ich, a raczej — nie ich — dyplomaci.

10 marca br. Związek Radziecki raz jeszcze dał wyraz swojej szczerej, obliczonej na Pokój — polityce. Zastępca ministra spraw zagranicznych ZSRR A. Gromyko wręczył przedstawicielom Wielkiej Brytanii, USA i Francji notę rządu radzieckiego w sprawie przygotowania traktatu pokojowego z Niemcami.

PRZECIW WIDMOM MORDU

Kiedy w sierpniu 1945 roku zakończyła swoje obrady Konferencja Poczdamska — został po niej dokument zasadniczy dla przyszłości Niemiec. Uchwały poczdamskie zobowiązywały 4 okupacyjne mocarstwa do „poczynienia przygotowań do ewentualnej odbudowy niemieckiego życia politycznego na podstawie demokratycznej, do ewentualnej współpracy pokojowej Niemiec w życiu międzynarodowym". Uchwały poczdamskie głosiły konieczność stworzenia takich Niemiec, które by nie stanowiły groźby dla pokoju świata i bezpieczeństwa ich sąsiadów. Uchwały poczdamskie zapowiadały uchylenie wszystkich ustaw narodowo - socjalistycznych, „które tworzyły podstawę ustroju hitlerowskiego, albo które wprowadzały rozróżnienie z uwagi na rasę, wyznanie lub przekonania polityczne". Uchwały poczdamskie zapowiadały wreszcie aresztowania i wyroki na przestępców wojennych, wychowanie w duchu eliminacji doktryn narodowo-socjalistycznych i remilitarystycznych, zapowiadały wolność słowa, prasy, wyznania, umożliwienie pomyślnego rozwoju idei demokratycznych.

Uchwały poczdamskie otwierały więc przed narodem niemieckim drogę pokoju i dobrobytu.

W imieniu Związku Radzieckiego podpis pod Uchwałami złożył premier ZSRR, Józef Stalin. Od tej chwili dokument stał się wiążącym dla rządu, którego odpowiedzialność przed narodem jest podstawowym prawem istnienia.

W NRD

7-go października 1949 roku proklamowana została na terenie radzieckiej strefy okupacyjnej suwerenna Niemiecka Republika Demokratyczna — rzetelna kontynuatorka najlepszych tradycji narodu niemieckiego.

Na terenie NRD przeprowadzone zostały podstawowe demokratyczne reformy: reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu i kapitału finansowego. Reforma rolna oddała ziemię 221 tysiącom bezrolnych. W wyniku reformy powstało 209.000 nowych chłopskich gospodarstw. Potężna jest cyfra 2.167.602 ha ziemi, jaką ogółem rozdano.

Rolnicy NRD, pracując na swoim, podwoili powierzchnię zasiewów w stosunku do okresu przedwojennego. W r. 1950 zbiory głównych roślin uprawowych były o 50 proc. **większe niż w 1945 r. Wzrosło pięciokrotnie pogłowie trzody chlewnej.** Z roku na rok zwiększają się przeciętne zbiory.

W całym kraju utworzone zostały stacje wypożyczania maszyn (MAS), dysponujące obecnie 12 tysiącami traktorów. Związek Radziecki w ramach swojej pokojowej polityki dopomaga NRD w gospodarczym rozwoju. Stacje wypożyczenia maszyn jednej tylko prowincji Brandenburg otrzymały ok. 500 radzieckich traktorów, 100 samochodów ciężarowych, 380 kompletów inwentarza przyczepnego i wiele innych maszyn rolniczych.

Przeprowadzono na terenie NRD uspołecznienie wielkich przedsiębiorstw przemysłowych W rękach ludu wytwarzają one ok. 65% całej produkcji przemysłowej. Systematycznie wzrasta dobrobyt ludności w NRD. Zniesiono kartki na chleb, kaszę, warzywa i ziemniaki, na większość wyrobów włókienniczych. Rząd przeprowadza obniżki cen towarów masowego użytku. Po obniżce w r. 1950-ym, w czerwcu 1951 r. przeprowadzono obniżkę cen detalicznych na towary żywnościowe i przemysłowe, a 8 października 1951 r. dokonano trzeciej już obniżki cen.

Gospodarka NRD ujęta jest w ramy wielkich planów. W półtora roku wykonany został dwuletni plan odbudowy gospodarki narodowej na lata 1949 — 1950. Poziom produkcji przemysłowej z 1936 roku przekroczony został w lipcu 1950 r.

Można było w styczniu 1951 roku przystąpić w NRD do realizacji pierwszego planu 5-letniego na lata 1951 — 1955. Już pierwsze meldunki z frontu wykonania tego planu donoszą o nowych zwycięstwach. Meldunki te każą wierzyć, że pięciolatka NRD zostanie wykonana, że „dochód społeczny powiększy się w 1955 roku o 60%, ludność pracująca pod koniec pięciolatki będzie miała o 71 proc. więcej artykułów niż obecnie".

Takie są perspektywy rozwojowe na terenach, gdzie władzę przejął lud, gdzie uchwały poczdamskie o demokratyzacji przyoblekły się w pokojowy przemysł i spokojne życie.

Ukrócenie władzy wyzysku stało się podstawą dla najbardziej demokratycznych reform we wszystkich dziedzinach życia. Plony 7-u lat przerastają w NRD najśmielsze nadzieje z okresu wiosny 1945-go.

W 1950 .r mieszczański miesięcznik „Frankfurter Hefte" pisał: „Nie łudźmy się — jeśli nie uda się nam zjednać młodzieży, będzie to początek naszego końca". Istotnie: przyszłość Niemiec jest nierozerwalnie związana z postawą młodego niemieckiego pokolenia. „Jednać" — to znaczy w mieszczańskim języku piśmideł: **„przekupić"**. W NRD nikt nie „jednał" młodzieży. Dlaczego młody, normalny człowiek — jeśli da mu się prawo do pracy i nauki, do szczęścia — dlaczego miałby nie przyjąć tych praw, nie stanąć w jednym szeregu z tymi, którzy te prawa ustanawiają? Jeden jest warunek przekonania o czymś człowieka: jedność teorii i praktyki Dlatego młodzież NRD została zdobyta dla sprawy pokoju i demokracji. Powstała w NRD organizacja postępowej młodzieży.

„Wolna Młodzież Niemiecka — jest stworzoną na zasadach demokratycznych — głosi Art. 1 statutu FDJ — organizacją młodzieży niemieckiej, pragnącej brać czynny udział w budowie nowych demokratycznych Niemiec". Nie można wyrazić ogromnego wkładu FDJ w przeoraniu świadomości młodego pokolenia niemieckiego, w wychowaniu najmłodszych kadr — pionierów. Znana jest sprawa usunięcia ze szkolnictwa wszystkich starych nauczycieli i zastąpienia ich — FDJ-owcami. Ani jeden hitlerowski podręcznik nie służy do nauki w szkołach NRD.

„Chcemy od podstaw przekształcić szkołę i wychowanie w Niemczech. Chcemy — i to ma być Waszym zadaniem w przyszłości — aby na zawsze zniknęli z powierzchni ziemi faszystowscy oficerowie, oficerowie militaryści oraz biurokraci, którzy tak ogromną winą obciążyli historię Niemiec" — mówił do młodzieży Otto Grotewohl w imieniu Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED).

Młodzieży zapewnione zostało ustawowo prawo do pracy, płacy równej z dorosłymi, prawo do nauki, odpoczynku, prawa obywatelskie. Szeroka sieć średnich i wyższych uczelni, duża liczba stypendiów zapewnia młodym Niemcom stały rozwój intelektualny.

Rozwija się niemiecka narodowa kultura i sztuka. Ponad 100 scen teatralnych w NRD, 2.845 sztuk niemieckich i 723 dramatów radzieckich, 181 filmów produkcji niemieckiej — cyfry te obejmują okres tylko 5-u lat (do 1950 r.) — a jaką już mają wymowę. Ani władze radzieckie, ani rząd NRD nie skąpiły środków materialnych na wydatki kulturalne. 1,3 miliarda marek przeznaczył rząd Grotewohla na wydatki kulturalno - oświatowe w r. 1950-ym. Wraca na karty wielotysięcznych nakładów poezja Goethego, Schillera, Heinego...

O wszechstronnym rozwoju NRD można pisać (i pisze się) książki. Niesposób w artykule omówić choćby ułamku osiągnięć Wschodnich Niemiec.

Czyste ręce mają ludzie prowadzący NRD do dobrobytu i kultury. Czyste i sprawiedliwe są myśli i czyny tych ludzi.

Na czele władz NRD stoją bowiem ludzie, których całe życie było walką o prawa człowieka, o pokój i dobrobyt. Prezydent Wilhelm Pieck — z zawodu stolarz, „wielki, zasłużony bojownik proletariatu, niezłomny rewolucjonista, gorący rzecznik przyjaźni sąsiedzkiej między narodem niemieckim i polskim". Towarzysz walki Róży Luxemburg, Franciszka Mehringa, Karola Liebknechta, członek SPD, USPD, członek KC KPD...

✻

Nie chodziło o dalekie, odległe cele. Trzeba było stworzyć w NRD nowego człowieka i dać temu człowiekowi podstawy do spokojnego, szczęśliwego życia. Trzeba było — jak głosiły uchwały poczdamskie — wpoić przede wszystkim Niemcom miłość do innych narodów.

Nie może być lepszego sprawdzianu przemian w NRD niż stosunek Niemców do Polski. Znane są ogólnie oświadczenia działaczy politycznych i społecznych NRD w sprawie granic na Odrze i Nysie. Nie mniej ważne jest to, że gorącą przyjaźń dla naszej Ojczyzny odczuwa cała młodzież NRD. Nie było chyba w dziejach ruchu młodzieżowo bardziej serdecznej manifestacji przyjaźni niż powitanie polskich delegatów na Zlocie Berlińskim przez młodych Niemców.

„Oba nasze narody — mówił Wilhelm Pieck — współpracują ze sobą ściśle i czynią wszystko, by służyć sprawie Pokoju w Europie".

✻

Tak na terenie NRD zrealizowano uchwały poczdamskie. Taka jest polityka „szczególnego rodzaju" — polityka ZSRR, Polski, NRD...

POLITYCY ZBRODNI

W 49-ym roku w Berlinie Adenauer oświadczył: „Naród niemiecki nie skapitulował w maju 1945..." Wypowiedź tę (oraz wiele podobnych) reżyserował departament stanu USA, choć jak wiadomo Ameryka podpisała w r. 1945-ym Uchwały Poczdamskie, których 3 (II) punkt mówi: Cele okupacji Niemiec...: „Przekonać naród niemiecki, że poniósł on zupełną klęskę militarną i że nie może uchylić się od odpowiedzialności za to, co sam na siebie ściągnął..."

A co mówią fakty?

W Zachodnich Niemczech nigdy nie przeprowadzona została reforma rolna. Do grudnia 1948 r. w strefie amerykańskiej utworzono tylko 707 nowych gospodarstw na ok. 25 tys. ha. W innych strefach trwały i trwają dyskusje w Landtagach, czy np. włączyć do reformy rolnej majątki poniżej 150 ha, czy nie. Przypomina to wszystko smutnej pamięci polską „reformę rolną" po pierwszej wojnie światowej.

Trudno powiedzieć, aby przemysł — pozazbrojeniowy — rozwijał się w jakikolwiek sposób. Zwiększa się stale ilość bezrobotnych, która w 1950 r. wynosiła 1,7 miliona ludzi. Idą w górę ceny i podatki. Cena chleba razowego wzrosła w okresie od r. 50 do 51 o 42%, chleba białego — o 90%. Wszystko to jest bezpośrednim rezultatem stałego wzrostu wydatków okupacyjno-zbrojeniowych, które w r. 1951 wyniosły 11 miliardów marek.

Ani fabryki, ani kopalnie, ani banki nie zostały uspołecznione. Maskowanie tego faktu nie potrafi go zmienić. Z dnia na dzień obniża się stopa życiowa ludności Niemiec Zachodnich i pogłębia się przepaść między masami pracującymi, a kapitalistami, których wywłaszczenia okupant oczywiście nie przeprowadził.

Taki jest gospodarczy krajobraz ziem niemieckich pod okupacją mocarstw zachodnich i pod rządami kukieł z Bonn — panów Adenauerów, Heussów, Schumacherów. Krajobraz kształtowany przez ludzi szykujących wojnę, a dla wojny — bazę wypadową — Niemcy Zachodnie. Przez ludzi, którym rozbicie Niemiec pomaga utrwalić system agresji i zbrojeń na części terytorium niemieckiego narodu.

„Do diabła z demilitaryzacją Niemiec! Odbudujemy trusty, zwrócimy przedsiębiorstwa przemysłowe ich hitlerowskim właścicielom i dyrektorom" — krzyczał Lawrence Wilkinson, szef wydziału przemysłowego amerykańskiej administracji wojskowej — już kilka lat temu.

Udział przemysłu komsumpcyjnego wartości globalnej produkcji spadł w 1950-51 roku do 39,9% w porównaniu z 37% w r. 1936.

Z niemieckiej stali odlewa się armaty nie tylko w Trizonii, ale i w innych krajach agresywnego bloku atlantyckiego. Przedsiębiorstwa Kruppa „Panzerwerke" przygotowują się do produkcji czołgów typu „Pantera", Fabryki „Blaupunkt" produkują urządzenia dla czołgów i zmotoryzowanej artylerii' — donosi prasa z 24.11.1952 roku.

Ale sprawa jest bardziej skomplikowana: idzie przecież ostatecznie o... **żołnierzy.** Kilka dni temu Radio Paryż w swojej reakcyjnej audycji po polsku nadało m. in. satyryczną piosenkę. Znalazły się w niej takie słowa prawdy o „armii zachodnio - europejskiej".

„Z europejską armią troska
wielka troska
Jest dowódca — nie ma wojska
To źle".

Zachodni okupanci zachodnich Niemiec robią wszystko, aby przekonać ludność o konieczności wojny z ZSRR. I znów fakty:

Sprawa przesiedleńców z polskich Ziem Odzyskanych. „Setki tysięcy przesiedleńców żyją w obozach, które prasa nazywa otwarcie „obozami koncentracyjnymi bez drutów kolczastych". W Bawarii 350 tysięcy przesiedleńców — to pariasi na każdym kroku podlegający dyskryminacji, spychani na dno nędzy".

A sprawa młodzieży. Pornografia, pamiętniki z „wielkich czasów Hitlera", bzdura, morderstwo, gwałty oto jaką kulturą karmi się młode pokolenie zachodnio - niemieckie „Problem pozbawionej opieki i bezdomnej młodzieży stanowi jedną z największych obciążeń społecznych. Liczba młodych włóczęgów sięga cyfry 100 tysięcy.."—pisał hamburski „Die Welt". Bezrobocie, niewystarczająca liczba szkół — pchają młodzież w paszczę demoralizacji lub... Legii Cudzoziemskiej z zapewnioną śmiercią (np. w Vietnamie...)

Wypuszczanie z więzień czołowych hitlerowców i zatrudnianie ich na wysokich stanowiskach państwowych i społecznych, odradzanie mitów szowinistyczno-rasistowskich — oto metody okupantów i ministrów z Bonn.

Wystarczy przyjrzeć się organizacjom istniejącym w Trizonii, aby przekonać się, że „wolność słowa i stowarzyszeń" jest tu wolnością dla zbrodniarzy i zdrajców. W 1951 r. działało w Niemczech Zachodnich 450 organizacji żołnierskich, z których np. Związek b. członków Waffen SS posiada 376 oddziałów lokalnych".

Prasa, radio, film, kościół — wszystkie możliwe instytucje opłacane dolarami biorą udział w nagonce przeciw pokojowi.

Ale szczególnie rozwinięta jest akcja zwalczania w Tryzonii wszelkich ruchów i organizacji postępowych. Wystarczy powiedzieć, że we wrześniu 1950 roku „rząd" Adenauera ogłosił listę 13 organizacji, których członkowie nie mogą być zatrudnieni w urzędach państwowych i samorządowych. Wśród tych organizacji znalazła się KPD, FDJ, VVN, Kulturbund i wiele innych.

(Dokończenie na str. 7-ej).

TADEUSZ MURAS

DYSKUSJA O „WSPÓLNEJ DOLINIE"

REDAKCJA tygodnika „Wieś" w 8 numerze br. zamieściła wypowiedzi nauczycieli ze spółdzielni produkcyjnych o zbiorku opowiadań St. Piętaka pt. **„Wspólna dolina"**. Wypowiedzi te dają ciekawe dane, jak funkcjonuje książka w terenie. Badanie reakcji czytelnika na dzieło literackie może oddać duże usługi zarówno pisarzowi w doskonaleniu jego pracy pisarskiej, jak i krytykowi, szukającemu społecznego sprawdzianu własnych ocen.

Autor **„Wspólnej doliny"** odpowiadając na wypowiedź czytelników tak pisze: „Nielatwa to sprawa bronić się lub tłumaczyć przed swym czytelnikiem. Zawodowy krytyk niekiedy ledwie przeglądnie powieść i już o niej napisze nie angażując w wypowiedzi niemal wcale swego serca. Gniew, oburzenie i pretensje czytelnika, piszącego o książce, trzeba brać poważniej, w jego uwagach bowiem każde zdanie ma pokrycie, za każdym słowem stoją chwile istotnego przeżycia".

Pragnę od razu zwrócić uwagę na niewłaściwe przeciwstawienie „zwykłego czytelnika" — krytykowi, mogłoby nam to utrudnić zrozumienie roli, jaką w krytyce literackiej mają spełnić liczne wypowiedzi konsumentów literatury. Krytyk, który „ledwie przeglądnie powieść", w kilku miejscach przyłoży miarkę swojej estetyki i już ma gotowe zdanie o autorze, to jest zły krytyk i nie o takich trzeba pamiętać, gdy mówi się o krytyce poważnie. Krytyk jest człowiekiem zdolnym przeżywać utwór tak samo głęboko, jak każdy jego odbiorca. Od zwykłego czytelnika różni się fachową wiedzą, która pozwala mu określić przyczyny swych przeżyć, tkwiące w technice pisarskiej autora.

Wartość wypowiedzi opublikowanych przez „Wieś" polega na tym, że ocena książki przeprowadzona przez czytelników o różnorodnych doświadczeniach pozwala zarówno pisarzowi, jak krytykowi ocenić praktycznie funkcjonowanie utworu w kręgach czytelniczych, ustalić jego wartość wychowawczą.

Wybór redakcji, powołującej do zabrania głosu aktywistów spółdzielni produkcyjnych był bardzo słuszny. Otrzymaliśmy w ten sposób wypowiedzi ludzi, tkwiących głęboko w najaktualniejszej problematyce wiejskiej, posiadających bogate doświadczenia z terenu. Jednakże warto by uzupełnić tę ankietę głosami ludzi o różnej świadomości ideologicznej, bardziej zróżnicowanych społecznie. Poszerzyłoby to naszą wiedzę o recepcji książki Piętaka.

✠

Nauczyciele zgłaszając swoje zastrzeżenia przeciw książce Piętaka mówili przede wszystkim o takich sprawach: 1) Brak partii i szerokiego aktywu reprezentującego interesy wsi i organizującego chłopów małorolnych do realizacji aktualnych zadań. 2) Brak optymizmu, wskazującego perspektywę rozwoju spółdzielni, ktora gwarantowałaby chłopu spełnienie jego życiowych marzeń właśnie w zespołowym gospodarstwie. 3) Zbyt wielka rola kułaka we wsi tzn., że jego interesy i dywersja wyznaczają bez reszty rozwój opisywanych wydarzeń.

Oto takie trzy zasadnicze zastrzeżenia wysuwają aktywiści ze spółdzielni produkcyjnych, formułując je w różny sposób i popierając rożnymi argumentami życiowymi. Wypowiedzi nauczycieli notują zgodnie, że mimo słusznych intencji autora, mimo jego niewątpliwie gruntownych studiów tego przedmiotu i obserwacji w terenie (o tym świadczą trafne komentarze autorskie w tekście i liczne wypowiedzi włożone w usta bohaterów) autorowi nie udało się w sposób przekonywający ukazać wewnętrznych konfliktów, nurtujących współcześnie chłopów.

Żywy konflikt naszej rzeczywistości, konflikt wstrząsający go głębi, tkwi także i w tym, że pojęcia chłopa nawet małorolnego są bardzo często sprzeczne z jego osobistymi interesami, z możliwościami jakie otworzyły się przed nim w nowym ustroju. Chłop nieraz sam sobie bywa wrogiem, stojąc na uboczu dokonujących się w kraju przemian. Autor **„Wspólnej doliny"** posunął się za daleko, tłumacząc „problemem kułaka" wszystkie wewnętrzne sprzeczności, zmagające się w psychice chłopa w momencie, gdy jego nadzieje na indywidualną pomyślność zostały zachwiane. Oczywiście, że bogacz wiejski przez swoje dążenia do wyłącznego prymatu ekonomicznego i moralnego we wsi, przez swoją walkę o zachowanie na wsi taniej siły robotniczej jest prawdziwym wrogiem chłopa i władzy ludowej, która przez rozwój spółdzielczości zapewnia uniezależnienie się dawnym kułackim najemnikom. Nie należy jednak sprawy upraszczać, czyniąc z kułaka jedyną i wyłączną sprężyną lęków i oporów średniaka.

Każdy z czytelników dopomina się o uwzględnienie w powieści roli **partii i kierującego aktywu spółdzielni.** Jestem przekonany, że gdyby autor dorobił pięćdziesięcioosobowy zespół koła partyjnego we wsi, czytelnicy postawiliby ten sam zarzut. Partia nie istnieje tam, gdzie widzimy członkow, lecz tam, gdzie widoczne są efekty jej działalności. A jak autor ukaże wyniki tej pracy, jeżeli nie ma chłopa, w którym giną stare a rodzą się nowe myśli i społeczne reakcje? Dla tej samej przyczny autor nie mógł nam pokazać ani jednego spółdzielcy. Ba, można zaryzykować twierdzenie, że we wsi nie ma chłopów. Autor mógł pokazać tylko **rozbijaczy,** wymienić po nazwisku **osoby wydarte spółdzielni** przez kułackie i kościelne strachy, oraz powiedzieć, jak dwie następne prosiły o wypisanie z tych samych powodów. Jeżeli autor nie pokaże, jak chłop kalkuluje każdą swoją decyzję, jak wreszcie mimo oporów zostaje przekonany własną kalkulacją, to w utworze w ogóle chłop nie wystąpi. Będą wrogowie Polski Ludowej, będą „działacze" postępowi i będzie pusta walka bez przedmiotu, o który się toczy.

Czytelnicy pytają dlaczego działa sam Władek? Należy zwrócić uwagę, że Władek jest od początku „gotowy" ideologicznie. Problem dojrzewania nie istnieje. Aktyw jest potrzebny wtedy, gdy na jego przykładzie można pokazać, jak ludzie rosną. Jeżeli to autora nie interesuje to dla naświetlenia walorów aktywisty, przeciwstawiającego się wszystkiemu złemu we wsi, służy lepiej jedna osoba. Więcej osób ujęłoby blasku głównemu bohaterowi. To jeden powód dlaczego Władek nie ma kolektywu, a drugi to ten, że każda nowa osoba, to nowe zmartwienie, co jej dać do roboty. Tak mści się na autorze zasadniczy błąd w ustawieniu swej problematyki.

Zadziwiająca jest konsekwencja w tym, że żaden bohater, stając wobec nowej problematyki wiejskiej, nic **nie myśli.** Nie myśli Pagacz, który przeciwstawił się propozycji zamachu na Chochorskiego. Nie myśli Korpala, który zamorzył dziadka. Autor przydał obydwu sumienie w osobie dziecka. Nie myśli Heniek, służący Dula, ani młodzież we wsi (Dobroć bogacza). Wyjątek stanowi tylko Suchy, ale ta postać stoi wobec starych, znanych od dawna literaturze spraw związanych z walką o ziemię. Groźny dla autora jest ten niedowład w umiejętności zobrazowania nowych konfliktów wewnętrznych.

Natomiast kułacy są bardzo ruchliwi. Dużo się złoszczą, na każdym kroku szkodzą i aż do przesady dużo mówią, na co wyraźnie zwrócili uwagę czytelnicy. (p. wypowiedź St. Talarczyka).

Czytelnicy zarzucają, że zbiorek nie pokazuje **wyraźnej** perspektywy rozwoju nowych spraw we wsi. Br. Strzyżewski jest wyraźnie zawiedziony ponurą atmosferą zbiorku. Źródło tego zawodu — jak wszystkich braków książki jest to samo. Utwór nie pokaże radosnej przyszłości wsi, jeżeli nie pokaże człowieka, który w nowym ustroju rozwiązuje swoje odwieczne troski, jeżeli nie ukaże tych realiów, wokół których zaczyna się skupiać zainteresowanie chłopa do wszystkiego, co nowe.

Jak pięknie brzmią słowa Wład. Alfawickiego ze wsi spółdzielczej Miechowa, który pisze: „Chłop nasz lubi marzyć, marzył wszak o wolności w feudaliźmie, o ziemi w kapitaliźmie, obecnie marzy o dorównaniu miastu — robotniczemu z pracy, kultury i władzy". Słowa te nie mają niestety pokrycia w zbiorku.

✠

Autor zwrócił uwagę, że czytelnicy pominęli opowiadania pt. „Duszkiewicz", które **„daje obraz tych głębokich sprzeczności i konfliktów, jakie przeżywała grupa tzw. pisarzy chłopskich (problem wcale jeszcze żywy), a z nią wielka część intelgencji pochodzenia wiejskiego, zanim odeszła od dawnego, ciasnego świata pojęć i zrozumiała, doceniła i zaczęła żyć ideą socjalizmu".** Rzecz zrozumiała, że problem ten nie leży w sferze zainteresowań młodych aktywistów ze spółdzielni produkcyjnych.

Mnie problem ten bardzo interesuje, ponieważ pośrednio dotyczy również osobiście. W mojej drodze do socjalizmu przeżywałem wiele konfliktów i rozczarowań nim stanąłem mocno i zdecydowanie na nowym gruncie. Kiedyś najbliższą z twórczości pisarzy ludowych była mi poezja A. Frasika. Do dziś umiem na pamięć wiersz St. Piętaka „Noc letnia". Szukałem śladów jego w opowiadaniu „Duszkiewicz".

Tymczasem problem Duszkiewicza to nie droga „inteligenta chłopskiego" do pozycji ideowych, na których całym sercem stanął po stronie dyktatury proletariatu — ale perypetie pisarza „postępowego", którego twórczość niegdyś zakłamała sanacja, a który teraz w akcji odczytów autorskich trafia do ludowego czytelnika. Duszkiewicz jest znów od początku „gotowy". Nie przeżywa żadnych konfliktów ideowych — a tylko głębokie załamanie moralne i zniechęcenie, wywołane śmiercią syna, zamordowanego przez ludzi faszystowskiego podziemia. A przecież typowy i dramatyczny konflikt „ideologa chłopskiego" z dwudziestolecia — postawionego wobec problemów budownictwa Polski Ludowej przebiegał zupełnie inaczej. Przyjął on zdobycze, jakie wsi dała partia, ale z drugiej strony stawiając zawsze na chłopa i tylko na chłopa nie mógł pogodzić się z myślą o hegemonii klasy robotniczej. Inteligent wiejski sarkał na przodującą rolę partii, wobec której i on sam ginął i malał, ale równocześnie stał twardo na gruncie władzy ludowej, dzięki której wydostał się z sanacyjnego błota. Ideolog chłopski nie stanął od razu w awangardzie budowniczych socjalizmu, ale zdecydowanie przeciwstawił się próbom obalenia władzy ludowej przez faszystowskie podziemia. W tej walce rósł i krzepł jego światopogląd, ale to był pierwszy etap, który nie likwiduje jeszcze od razu wszystkich nawet tych nieantagonistycznych sprzeczności między klasą robotniczą a chłopstwem.

W opowiadaniu Piętaka brak nam obrazu owych rok rocznie traconych pozycji chwiejnej ideologii „chłopskiej", podważanych przez marksistowską naukę i rewolucyjną politykę, tych wszystkich rozczarowań, przemyśleń i doświadczeń, bez których nie ma żadnego rozwoju.

Sympatia czytelnika skupia się wokół sztywnych i ortodoksyjnych postaci, które nie zmieniają się (a niejednokrotnie wszystko wiedzą i uczą swej wiedzy innych), lecz wokół tych, które rozwijają się czasem przez własne cierpienia i załamania. Czytelnik otacza ogromną sympatią te postaci, które mimo ruiny swych dotychczasowych przekonań, nie załamują się, lecz wśród ciężkich zawodów życiowych i nowych doświadczeń, budują słuszniejsze poglądy. Taki jest sens naszych przemian i to utwór musi pokazać, by wzruszał, uczył i agitował.

Pragnę podkreślić w końcu, że autor — i słusznie — bardzo poważnie potraktował wypowiedzi czytelników. Warto przypomnieć te słowa:

„Błąd mój wynikł z dawnych nawyków pisarskich. My twórcy, ulegający w swojej młodości tzw. literaturze aluzyjnej i antyrealistycznej długo jeszcze będziemy musieli walczyć z reliktami dawnego w sobie. Skróty są dobre, jeśli podyktowane są przy opisie natury czy opisie przedmiotu, nie mogą dotyczyć przecież człowieka... o którym trzeba wszystko szczegółowo i jasno opowiedzieć, by czytelnik miał pełną satysfakcję analizując i przeżywając tę postać...

Myślę, że gdybym posiadał znajomość dzisiejszego wiejskiego życia równą im, gdybym z taką samą żarliwością ideową podchodził do człowieka — działacza, jak oni, napisałbym lepszą, a może nawet znakomitą książkę".

Oby ta dyskusja z czytelnikami pomogła pisarzowi pogłębić i ulepszyć własny warsztat artystyczny, po którym mamy wszelkie prawo wiele się jeszcze spodziewać.

Tadeusz Muras

GRZEGORZ LASOTA

NOTATKI O LIRYCE

W ROZGWARZE namiętnych dyskusji literackich często bałamutnie twierdzono, że istnieje u nas jakaś bliżej nierozpoznana grupa zaciekłych wrogów „liryki osobistej". Zapoznanie się z wysuwanymi zarzutami pozwalało stwierdzić, iż ową grupę wrogów liryki stanowią rzekomo młodzi poeci. Sformułowania takie były niesłuszne i wnosiły szkodliwy zamęt do toczonych sporów. Istotnie, wielu młodych poetów, sięgając do tematyki społecznej, przesycając swoje wiersze treściami politycznymi — lirykę doznań społecznych przekładało nad lirykę kręgu spraw osobistych. Skrajny i fałszywy wyraz znalazło to w poemacie K. Gruszczyńskiego „Płomień czerwonych krawatów:

„Oto przyrzekam towarzysze:
o ptaszku,
gałązce,
gwieździe,
dopóty nie napiszę,
dopóki wiersz mój z wami nie wstąpi
na socjalizmu choćby przedmieście"

W praktyce nie oznaczało to jednak wrogości wobec liryki przeżyć jednostkowych, lecz w hierarchii poetyckiej walki usuwało ją na plan dalszy. Hasło takie w pewnym stopniu zrozumiałe na tle ówczesnej sytuacji politycznej — w późniejszym okresie doprowadziło do zatracenia tonu bezpośredniości, pozwalało na wślizgiwanie się do wierszy utartych, gładkich frazesów. Nowe pokolenie poetyckie przy swym starcie nie potrafiło znaleźć nowych środków wyrazu dla wyświetlenia na ekranie wiersza lirycznych przeżyć i nastrojów nowego człowieka. Prościej i łatwiej było poszerzyć skalę tematyczną, wprowadzić nowe problemy ideowo-moralne, nadać im nowy kształt poetycki — w epicko-lirycznych wierszach politycznych, obejmujących zjawiska ogólne — niż wyrugować z liryki mieszczańskiego bohatera (podmiot tej liryki), mieszczańską konwencję i mieszczańskie treści (przedmiot tej liryki).

Nowa socjalistyczna liryka — a więc liryka realistyczna — musi wyrażać zupełnie nowe treści uczuciowe, stanowiące istotę wewnętrznych doznań ludzi klasy, która ster losów państwa i narodu wzięła w swoje ręce. Liryka realizmu socjalistycznego miała za zadanie odzwierciedlać typowe przeżycia ludzi budujących. Nie mogła być zawieszona w próżni społecznej i czasowej, o anonimowym bohaterze lirycznym, oderwana od szczegółów nowego życia, w których zawarte były elementy tego, co ogólne. Nowa liryka musiała sięgnąć do nowej metaforyki, nowego obrazowania, zbliżając styl do potocznej mowy. Nowa metaforyka oznaczała wykazywanie nowych związków między rzeczami i pojęciami, sięganie do świata zainteresowań ludzi, dla których wiersze były przeznaczone. Rzecz nie ograniczała się do zmiany tonu poetyckiego, do zerwania z pesymizmem i mętną „nastrojowością". Chodziło o to, aby wiersze liryczne głęboko osadzić w nowym życiu, przedstawiając w nich głęboko ludzkie uczucia.

Pod terminem liryki osobistej rozumiem te utwory poetyckie, które przedstawiają zjawiska życia prywatnego lub politycznego w bezpośrednim związku z życiem i działaniem bohatera lirycznego i są przepuszczone przez filtr subiektywnego, bezpośredniego do nich stosunku. Mogą to być wiersze o synu, jak i o traktorze, lecz tylko wtedy będzie to liryka osobista, gdy fakty te przedstawione będą nie w deklaracji czy obiektywnej relacji — lecz w powiązaniu z życiem bohatera lirycznego utworu i jego uczuciami. Po to trzeba było wyzwolić się nie tylko z ideologicznych poglądów burżuazji, ale również z mieszczańskiego sposobu odczuwania świata i widzenia przeżyć ludzkich, które w poezji wyrażane były szablonami rekwizytów, obrazów i sytuacji.

Umiejętność głębokiego oddania przeżyć ludzkich, atmosfery i nastrojów właściwych określonym klasom społecznym — wyraźne adresowanie swej twórczości do określonego odbiorcy — stanowiło zawsze istotną cechę wielkiej liryki osobistej. Szablon, powtarzanie starych sytuacji i rekwizytów poetyckich, „ponadczasowość", „ogólnoludzkość", płytkie i nierealistyczne przedstawianie przeżyć, martwe i mechaniczne przedstawianie pojęć — stanowiło istotną cechę małej, nędznej liryki epigonów. Majakowski pisał o takich wierszach:

Poza talentem, związaniem z epoką, stopniem typowości, o trwałości liryki decyduje chyba prawdziwość obrazów przedstawianych przeżyć, głębia psychologicznego ujęcia. Prawdziwość, która posiada moc filozoficznego uogólnienia, mistrzowsko wyrażonego obrazami. Prawdziwości tej gwarantem zawsze było osobiste, głębokie przeżycie zagadnienia przez poetę. Jakże trafnie sformułował to Bieliński:

„Wszystko, co jest ogólne, wszystko, co istotne, wszelka idea, wszelka myśl — podstawowe motory świata i życia — mogą się stać treścią utworu lirycznego, jednakże pod warunkiem, by to, co ogólne zostało przyswojone przez żywą istotę podmiotu, weszło w jego doznania, było związane nie z jakąkolwiek jedną stroną jego istoty — ale z całością. Wszystko co zajmuje, wzrusza, cieszy, smuci, dręczy, uspokaja, trwoży — słowem wszystko, co składa się na treść duchowego życia podmiotu — wszystko, co wnika w niego i w nim powstaje — wszystko to liryka przyjmuje, jako prawny jej stan posiadania".

Słusznie więc prowadzimy walkę z liryką abstrakcyjną, konwencjonalną, dekadencką liryką, wyrażającą obce nowemu odbiorcy literatury stany osamotnienia i beznadziejności rozbitka zlikwidowanych klas. Walczymy więc i nadal będziemy toczyć walkę nie z liryką osobistą „w ogóle", a z konkretnymi przeżytkami liryki burżuazyjnej.

W momencie debiutu poetów, którzy pierwsze tomiki wydali w r. 1951, wiele nieporozumień wokół problemu liryki osobistej rozproszono, sprawa była dla nich prostsza niż w latach debiutu ich trochę starszych kolegów. Ścieżki poetyckie przekarczowano, niejeden pisarz połamał sobie na tych zarośniętych szlakach nogi, były już pewne doświadczenia. Problem liryki osobistej zaktualizował w niedawnych dyskusjach poetyckich zwłaszcza tomik Henryka Gaworskiego — „Przed nami życie". W tomiku tym wyodrębnia się wyraźnie spora grupa wierszy lirycznych o osobistej tematyce, które stanowić mogą wyjątkowo trafną ilustrację dla szeregu zarzutów stawianych temu typowi twórczości poetyckiej u wielu naszych najmłodszych pisarzy. Większość wierszy lirycznych Henryka Gaworskiego — bezsprzecznie utalentowanego poety — świadczy o nieporozumieniach natury ideologicznej i artystycznej, z jakimi wciąż jeszcze spotykamy się i w dyskusjach i w praktyce poetyckiej.

Jeden tylko wiersz z tomiku Gaworskiego — „Słowo o sobie" — nosi swoiste cechy wiersza lirycznego, wewnętrznie głęboko przeżytego o jednoczesnej dużej sile agitacyjnej i mocnej frazie intonacji poetyckiej. Dzięki połączeniu tych dwóch nieodłącznych elementów, utwór cechuje prawda życiowa i żarliwość przekonania. W tym wierszu jednoczy się dosadność politycznych określeń („najpierw należy karmić, a potem pocieszać") ze zjadliwą i trafną ironią, trafną przez zawarte w niej uogólnienie („wieszali nas po prostu, jak tani medal na piersiach naszej ziemi, którą lud nie władał") z osobistym ujęciem tematu (ojciec, matka, dom rodzinny). Trafnie zarysowany został obraz mrocznej powszedniości lat sanacji, dumnie brzmią pełne patosu słowa zakończenia. Dzięki temu wiersz ten jest przejawem nowej liryki, w której nie ma i nie może być przedziału między tym co osobiste, a tym co społeczne. Czy oznacza to, że wiersze o wąskim zasięgu tematycznym, wiersze mówiące o jednostkowych doznaniach i przeżyciach muszą mieć wyraźne, bezpośrednie pointy polityczne — tak, by nie było żadnej wątpliwości, iż autor stoi na określonym gruncie światopoglądowym? Z całą pewnością tylko wulgarne pojmowanie społecznej funkcji dzieła literackiego może prowadzić do takich wniosków. Nie sztucznie doczepiany komentarz polityczny, lecz organicznie wtopione w przeżycia osobiste zjawiska społeczne, lecz atmosfera moralna, określająca postawę ideową bohatera lirycznego.

Wiersz winien przynosić nowe ujęcia znanych tematów, właściwe danej jednostce określonej społecznie. Nie ulega wątpliwości, że w ramach określonej konwencji literackiej mamy do czynienia nie tylko z klasowo uwarunkowanym sposobem widzenia świata, lecz również z obrazem społecznie określonych treści psychicznych. Nie można nie wchodząc w istotę danej konwencji literackiej mechanicznie przenosić jej do współczesności. Do czego prowadzi branie złych wzorów, pokażemy na przykładzie:

„Z zadartą głową łażę
bo błękit już zradośniał
od ludzkiej pracy, od marzeń,
i trochę od przedwiośnia.
Wzdycham głośno i kicham,
taki wiosenny katar
a w górze głębia cicha
kłębiasta i kudłata".

Wierzyński? Tuwim? Nie! To Gaworski.

Albo:

„O ciszę proszę. O ciszę taką
która się marzy uśpionym ptakom...
...Takiej mi ciszy potrzeba dzisiaj
żebym milczenie własne usłyszał
żebym usłyszał i żebym pojął
jasno, jak śpiewkę najprostszą moją".

Leopold Staff? Może Krzysztof Baczyński? Nie! To Henryk Gaworski. Podobieństwo to nie jest czysto zewnętrzne, sprowadzające się do uzależnienia metafory czy rytmu cytowanych wierszy Gaworskiego — na przykład od wzorów „Skamandra". Mechaniczne przejmowanie chwytów poetyckich prowadzi często do nieświadomego przenoszenia wraz z nimi elementów ideologii poety naśladowanego. Czy oznacza to, że wszystkie cechy poetyki np. „Skamandra" począwszy od metafory, skończywszy na właściwościach wersyfikacyjnych — są wyraźnie ideologicznie określone i związane ze światopoglądem tych poetów? Na pewno nie. Na pewno takie rozumowanie byłoby grubym uproszczeniem. Jednakże nie ulega wątpliwości, że witalizm, żywiołowy optymizm, aintelektualizm wielu wierszy poetów „Skamandra" określał w ostatecznej instancji — typ stosowanego przez nich obrazowania, typ stosowanych przenośni.

Andrusowska, dziecinna pod względem poziomu intelektualnego poezja Wierzyńskiego, operowała owymi prymitywnymi twierdzami, które znaleźć możemy w nieudanym wierszu Gaworskiego „Lojalność małżeńska". Atmosfera tego wiersza, mimo moralizującej pointy, jest nam jednakże obca. Nieokiełznana radość, biologizm, charakterystyczne dla twórczości młodego Tuwima — zapewnie trafnie i mistrzowsko oddawały atmosferę właściwą dla drobnomieszczańskiej młodzieży, a prymitywizm był tu już świadomą stylizacją. U Gaworskiego zaś zdanie „z zadartą głową łażę, bo błękit już zradośniał" stanowi tylko powtórzenie tego nastroju. Poeta od siebie nie daje realistycznego, a więc pogłębionego, nie wrażeniowo - naskórkowego odzwierciedlenia stanów psychicznych. Jak więc powiedzieliśmy uprzednio, zły wybór tradycji, bezkrytyczne przejęcie cech poetyki „Skamandra" doprowadzić może współczesnego poetę do nierealistycznego i ahistorycznego przedstawiania zjawisk psychicznych; może on lekkomyślnie wprowadzić tylnymi drzwiami do swych wierszy bohatera lirycznego poezji mieszczańskiej.

Głębokość przeżycia i wielkość odczucia, wielka kondensacja emocjonalna — podporządkowane ideowości, wszystko to ujęte w mistrzowską formę, pozwalającą nam najczęściej na historyczne umiejscowienie nawet przeżyć psychicznych — oto myśli nasuwające się przy konfrontacji liryki wielkich mistrzów z naszą młodą poezją.

„Nigdy więc nigdy z tobą rozstać się
nie mogę,
Morzem płyniesz i lądem idziesz za
mną w drogę
Na lodowiskach widzę błyszczące twe
ślady
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej
kaskady.
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam
I postać twoją widzieć lękam się
i żądam...
(A. Mickiewicz)

Gdy się rozstaje młodych dwoje
To wśród uścisku rąk
Bywa tam płaczu pod dostatkiem
I westchnień długi ciąg.
Lecz myśmy wcale nie płakali
Nie było „Biada" ani „Ach" — — —
A nasze łzy, westchnienia nasze
Po wielu przyszły dniach.
(H. Heine) [1])

To radość dla mnie — wysyłać myśli
Do Ciebie miła, po słowa nadziei,
To radość dla mnie, kiedy serce
słyszy
Jak głos twój śpiewa pieśni nad
które nie ma
Piękniejszych. Mało jednak mam
nadziei.
I ciężko słuchać tylko cudzej pieśni
Kiedy nie wolno mi śpiewać.
(Nazim Hikmet) [2])

Oto przykłady trzech osobistych wierszy lirycznych, poświęconych miłości, rozstaniu i rozłące. Wiersze te pisane w różnych epokach, przez różnych poetów, w pewnym stopniu mówią o podobnych zagadnieniach. Namiętny, gniewny ból Mickiewicza, dyskretna, przejmująca zaduma Heinego, ujęta niemal w aforystyczną formę, dumne słowa Hikmeta, piszącego do żony z więzienia, mają te wspólne cechy, o których już mówiliśmy — głębię przeżycia, trafność przedstawienia stanów psychicznych, przy zachowaniu własnego, indywidualnego tonu. Pozornie odwieczny temat tęsknoty i rozstania, znajduje w trafnym obrazie poetyckim zawsze nowe oświetlenie, właściwe dla epoki, dla ludzi, którzy przeżywają, dla okoliczności. Znany jest również piękny wiersz Szczipaczowa na ten temat.

Przytoczmy dla przykładu utwór młodego poety współczesnego, obracający się w kręgu podobnej tematyki. Niech to będzie znów wiersz Gaworskiego:

„Biała droga zaczyna się od miejsca
Gdzie stoimy z ustami przy ustach
Zielony wiatr nuci pieśń odejścia
Zielony wiatr drzewami niebo muska.
...Biała droga rozbiega się daleko
Między drzewa chwiejne wiosennym
tańcem
Na tej drodze nie można przyrzekać,
Jak nie można przyrzec prawdy
w bajce...

Czy pragniemy, zestawiając wiersze wybitnych, genialnych poetów z wierszami młodego liryka, wykazać, że pisze on jeszcze nie najlepiej? Nie. Zestawiając te wiersze, chcemy zastanowić się nad tym, dlaczego przyjemny wiersz Gaworskiego, charakterystyczny dla prób młodych polskich liryków, jest mniej przekonywający i mniej realistyczny, aniżeli twórczość, którą pozostawiła nam w spadku wielka poezja.

Otóż wydaje się, że w wierszach Gaworskiego, jak w utworach wielu naszych debiutantów z lat 1950 — 51, myśl, uczucia, przedstawienie uczuć zostają usunięte na dalszy plan — pod różnym pretekstem. U Gaworskiego będzie to np. dość dowolny obraz „zielonego wiatru", dość niekonkretny opis przyrody. Psychologiczna motywacja nastroju zostaje zagubiona. Historyczna konkretność ustępuje miejsca mgławicowej metaforyce, jak np. w cytowanym wierszu „Biała droga kończy się na dłoni, wyciągniętej powitania gestem".

Debiutujący poeci nie potrafią ukazywać przeżyć psychicznych, ślizgają się często po powierzchni zjawiska, bądź też kalkują prawdy znane i przez wszystkich powtarzane. Nie potrafią nadawać uczuciom „ogólnoludzkim" cechy konkretności społecznej, traktować tematów w sposób właściwy dla niepowtarzalnego przeżycia twórcy — przeżycia indywidualnego, bogatego w specyficzne szczegóły, które poeta odzwierciedla własnymi obrazami i własnymi skojarzeniami.

Większość naszych rozważań stanowiła próbę omówienia tych uczuć i przeżyć ludzkich wchodzących w zakres pojęcia liryki osobistej — które zmieniając swoje znaczenie i treść stanowiły jednak ośrodek zainteresowań poezji przeszłości. Jednakże jest wiele takich elementów przeżyć osobistych nowego człowieka, które narodziły się wraz z naszą epoką, wraz z naszymi stosunkami społecznymi.

Czujność poetycka — to przede wszystkim wyostrzenie wzroku twórcy na zjawiska nowe, rozwijające się. Obrazu tych nowych, nieznanych zupełnie całemu światu zjawisk, pojęć i przeżyć psychicznych — rzadko można się doszukać w naszej współczesnej poezji lirycznej. Problematyka partii, odpowiedzialność przed partyjnym kolektywem, duma z przynależności do tego potężnego zespołu przodujących... Samokrytyka, umiejętność krytycznej samooceny nie we własnym wnętrzu, a wobec towarzyszy... Marzenia o przodownictwie pracy... Ileż tematów z swej istoty nowych, o szerokim zabarwieniu emocjonalnym, na wskroś osobistych lecz typowych, ileż takich tematów pominiętych jest w twórczości naszych poetów...

Grzegorz Lasota

---

[1]) Przekład S. Łempickiego.
[2]) Przekład E. Fiszera.

Franciszek Pilarczyk

Wiosną 1923 roku na kominie Huty Bankowej zakwitł czerwienią zawieszony przez KZMP-owców sztandar. Dwa lata później — wiosną 1925 roku w Dąbrowie Górniczej w domu przy ul. Miejskiej 14 zginęli w walce z granatową policją dwaj komuniści — Franciszek Pilarczyk i Mieczysław Hejczyk. O tych latach walki wspomina zamieszczony przez nas fragment opowieści z dziejów młodzieży KZMP-owskiej.

ANDRZEJ MULARCZYK

W Polsce przedwrześniowej

SZTANDAR NAD DĄBROWĄ

BYŁ już w środku wygasłego przed laty paleniska, kiedy górą przejechał parowóz, klekocząc wagonami na złączeniach szyn.

Teraz musiał poczekać do zmroku. Chociaż na dworze było słońce — wewnątrz wielkiego paleniska panowała ciemność, rozcięta tylko wąskim paseczkiem dziennego światła. August musiał wtulić się w kąt, bo wchodzące przez tę szparę powietrze komin ciągnął do góry, ssał. Był przeciąg.

— Władek Ząbek przyjdzie pewno o szóstej... — rozmyślał August — nie, za wcześnie. O szóstej jeszcze jasno. Przyjdzie o siódmej.

Obliczał sobie na palcach: trzecia, czwarta, piąta... — pięć godzin czekania. Później niż o siódmej chyba nie przyjdzie. A może... wcale nie przyjdzie?

Niepewność w stosunku do towaszysza — to bolesna niepewność. A chwile narastały, piętrzyły się, wolno zamieniając się w minuty, w godziny... Ścierpnięte od długiego siedzenia nogi zmusiły Augusta do powstania. Oparł się o obrośniętą aksamitną warstwą ścianę paleniska. Krew krążyła teraz swobodnie, opuściło go mrówcze łaskotanie. Ale niepewność pozostała: — Przyjdzie, czy też...

Ząbek przyszedł około siódmej. Zresztą August nie pytał o godzinę. Kiedy wyjrzał z paleniska — zmierzchało się. Ząbek wetknął Augustowi do ręki coś zawiniętego w gazetę.

— Głodnyś. — Masz, zjedz...

August bez słowa odwinął papier i wgryzł się w złożone skibki. Z rozkoszą rozgryzał zębami twardiznę chlebowej skóry. Ząbek wyciągnął tymczasem z luftu druciany pręt. Rozginał go teraz w swoich silnych rękach. Kiedy rozprostowany drut wyciągnął się znowu na trzy metry, Ząbek pomagając sobie nogą zagiął jego koniec haczykowato. Na pytające spojrzenie Augusta odpowiedział: — Zaczepisz sobie tym za pasek.

Nie wiadomo dlaczego mówili szeptem.

— Będę szedł chyba z godzinę w jedną stronę... Ten komin ma chyba z dwieście metrów.

— Ani połowy tyle nie ma — uspokoił go Ząbek. — Ma coś 75 czy 80 metrów...

— Skąd wiesz? — niedowierzająco szeptał August.

— Bom pytał...

— A może klamer brakuje?... — niepokoił się August.

— No to zawrócisz.

— Jak zejdę, wtedy ty wrócisz do roboty...

— A ty?

— Ja poczekam tu do dziesiątej. Wyjdę później z drugą zmianą.

Byli już obydwaj wewnątrz paleniska. August potarł zapałką o pudełko. Błysnęło. Ciemność uskoczyła do kątów i schowała się w głąb komina. Brzeg kominowego korytarza z pierwszą klamrą wisiał metr nad nimi. Ząbek podparł kolegę. Rozrzeszone palce Augusta namacały żelazną klamrę. Uchwyciły mocno i podciągnęły ciało. Ząbek pomagał.

— Jest?

— Jest! — przyszła zdyszana odpowiedź.

Ząbek stał na nierównym dnie paleniska. Jego ręce jeszcze ostatni raz podparły chropowate zelówki i utraciły łączność... Trwał chwilę z podniesionymi rękoma. Czekał... Opuścił je, gdy z góry przyszedł głos.

— Pilnuj tu... Jak spadnę, weźmiesz mnie za nogi i wciągniesz na kolej.

— Po co?

— ...Żeby mnie pociąg przejechał... Jakby coś — donieś towarzyszom. A sztandar do pieca.

Ząbek czekał jeszcze spodziewając się, że z góry nadejdą jakieś słowa. Usłyszał:

— Serwus, Włodziu!...

W ciemności wyraźnie słychać było każdy krok. Odgłosy przychodziły przygłuszone i coraz bardziej cichły. Ząbek nadsłuchiwał. — August jest coraz wyżej. Czy dojdzie?

*

Wstawał świt. Franek nie potrafiłby powiedzieć, co najpierw dotarło do jego rozklejonej snem świadomości: natrętny szurgot stóp po trotuarze czy opakowany tiulową firanką dzienny blask. Może jedno i drugie chwytał równocześnie — pierwsze po przebudzeniu wrażenie dnia.

Nie wiadomo po co budził się przed piątą. Dwa miesiące temu, kiedy pracował jeszcze na kopalni „Koszarawa" matka długo musiała szarpać go za ramię... Żelazne łóżko skrzypiało przeraźliwie, jakby ktoś pilnikiem ciągnął po szkle, zanim Franek otworzył oczy.

— Wstawaj! Piąta za pół — półszeptem wyrywała go matka ze snu — spóźnisz się na szychtę...

Oglądała się z niepokojem w głąb izby, gdzie na dwóch łóżkach spało pięcioro Frankowego rodzeństwa: żeby tylko ich nie pobudzić. Zaraz było by pełno płaczu i krzyku.

Franek wyciągał się na łóżku, rozprężał mięśnie i szybko zrywał się na nogi — to mu jeszcze pozostało z wojska. W dziesięć minut był gotów. Gładka półlitrówka w kieszeni — w drugą dwie złożone do środka i przedzielone cienką warstewką smalcu pajdki razowca. Kawa była jeszcze gorąca i przez kieszeń przyjemnie grzała ciało. Za chwilę za Frankiem zamykały się drzwi i jego kroki przyłączały się do tych, które już od godziny słychać było za oknem. Cała Dąbrowa szła do pracy. Na ranną zmianę czekały kopalnie i huty.

A teraz Franek niepotrzebnie budził się przed piątą. Jak na złość... Denerwowały go kroki ludzi, do których nie mógł się przyłączyć. Od dwóch miesięcy był bez pracy.

— Bezrobotni to jedno mają lepiej od innych, że nie muszą chociaż zrywać się o świcie — żartował czasem z kolegami. A teraz nie pozostawało mu nic innego, jak przewracać się z boku na bok, skrzypiąc starymi sprężynami.

— Trzeba znaleźć pracę — a jak nie, to robić razem z ojcem. Tak, najlepiej będzie pomagać ojcu! — to postanowienie dojrzewało w nim ostatecznie. Ani ojciec, ani nikt inny w domu nie wypowiedział tego w żadnej formie, ale wszyscy jakby czekali na tę decyzję.

Dzienne światło wypierało mrok do kątów. Franek powitał ten dzień niechętną myślą: zaraz wstanie matka, zacznie w kuchni postukiwać garnkami. Przygotuje śniadanie — najpierw dla ojca, który o szóstej wyjeżdżał do Katowic do roboty — później dla dzieci... A on wstanie, pokręci się po domu — i jak to było od redukcji — pójdzie na Dąbrowę... „Szukać pracy" — to się tylko tak mówiło. Szukać można tylko wtedy, gdy wiadomo jest gdzie i jak. Znaleźć pracę w okresie redukcji — to jak żyłę złota w węglu. Franek wiedział to nie od dziś — od dwóch miesięcy mógł się o tym przekonać. Każdy dzień, wielogodzinne wystawanie w ogonku przed biurami kopalni kończyły się niepowodzeniem. I dzisiejszy dzień pewno nie będzie inny — a zacznie się właśnie tak...

Wstała matka. Zaczęła postukiwać garnkami na kuchni. Jak podpałka zarumieniła się ogniem, a piec zachłysnął się powietrzem, przez półotwarte drzwi Franek usłyszał głos matki:

— Złapał zug!

Uśmiechnął się. Zawsze żartowali w domu z tego, że matka często mówiła do siebie.

*

Zaraz za rogiem wisiała nad chodnikiem zielona tabliczka: SKLEP SPOŻYWWCZY I KOLONIALNY ORAZ GALANTERIA. Właśnie stara i rozczochrana Seidermanowa zdejmowała żelazne sztaby, broniące wejścia do sklepiku. Nagle uwagę Franka zwróciła przylepiona do muru ćwiartka zadrukowanego papieru. Przypominała ogłoszenia Zarządu Miejskiego.

— Pewno znowu jaki podatek... — mruknął do siebie. Podszedł, przeczytał pierwsze zdanie, wybite na górze tłustymi literami i...

— Stefan! — zawołał w stronę przyjaciela. Ten szedł już w jego stronę. Franek przyciągnął go do siebie za rękaw.

— Stefan!

Stanęli twarzą do muru. Franek czytał półgłosem: „Komunistyczna Partia Robotnicza Polski".

— To odezwa — prawie szeptem powiedział Stefan — dziś pierwszy maj. „Towarzysze! Robotnicy! Więzienia całej Polski zapełnione są tysiącami robotników i chłopów, walczących o swe wyzwolenie. Klasie robotniczej zabrana została wszelka wolność słowa i prasy. Organizacje polityczne i związki zawodowe pozamykane i porozbijane. Dla walki z ruchem robotniczym burżuazja utrzymuje olbrzymie kadry zbirów policyjnych dla zduszenia najmniejszych objawów słusznego buntu i walki. Carskie metody prowokacji zostały podniesione w niepodległej Polsce"...

Nagle ktoś ich lekko potrącił. Sapiąc astmatycznie Seidermanowa wtykała z boku swoją rozkudłaną głowę. Gdy przeczytała napis „Komunistyczna Partia Robotnicza Polski" zwróciła podejrzliwy wzrok na twarze chłopców.

— Kto to nalepił? — wyskrzeczała. Chydwaj obojętnie wzruszyli ramionami.

— Albo to ja wiem. Już było...

— Może policja — zażartował Franek. Kupcowa aż zafukała:

— Co też pan mówi! — zbliżyła się do muru i przeczytała pierwsze zdania.

— Niech panowie zerwą to świństwo! — dreptała wyczekująco w miejscu, zezując od czasu do czasu w stronę otwartych drzwi sklepu. Chłopcy stali nieruchomo z rękami w kieszeniach.

— A bośmy to nalepiali — bąknął Stefan.

— Ogłoszeń przecie nie wolno zrywać... — dorzucił poważnie Franek. Seidermanowa wahała się. Jej ręka z zakrzywionymi palcami już pięła się po murze w stronę rogu nalepionej ulotki. Ale opuściła ją; ktoś zatrzymał się przed sklepem. To było ważniejsze...

Pilarczyk i Mystek podeszli w stronę gromady. Teraz razem z innymi patrzyli w stronę widocznych nad murem kominów huty. Na zadymionym tle nieba głaskana lekkim wiatrem falowała czerwona chorągiew. Ludzie jakby łączeni jakimś wspólnym porozumieniem snuli między sobą domysły.

— To chyba komin ze stalowni? — pytająco odezwała się jedna z kobiet.

— Tak. Od starej stalowni — potwierdził nieogolony mężczyzna w kapeluszu zniszczonym jak jego twarz — pracowałem tam przy wielkim piecu...

Powiedział to tak,jakby miało to bezpośredni związek z dzisiejszym wydarzeniem. Stary patrzył ciągle w stronę komina starej stalowni. Wyprane z koloru, wyprażone żarem oczy hutnika dziwnie się zaszkliły.

Z tłumu piskliwych głosów wyrwało się głośniejsze pytanie.

— Ciekawe, kto to mógł zrobić?

— Baby zawsze ciekawe, jak sam Pan Bóg.

— Widzieliście, jaka wiosna? — głośno powiedział Cyprian — drzewa na zielono kwitną, a kominy na czerwono...

— Pierwszy to raz od piątego roku... — przytłumionym głosem poparł go stary robotnik. Gromada skupiła się ciaśniej. Padały słowa krótkie, urywane, jakby ci, co je wypowiadali, bali się powiedzieć zbyt wiele.

— E, chyba nie pierwszy raz... Bywało...

— To oznaka rewolucji...

— Piąty rok się powtarza...

— Tak się zaczęło!...

Głosy mieszały się, urywane zdania rzucane przez jednych, uzupełniane były przez innych. Z tego powstawała jedna całość — wrażenie czegoś nowego, dawno oczekiwanego, co niebezpiecznie jest powiedzieć głośno, wyrazić prosto i jasno... Niebezpiecznie, bo po drugiej stronie ulicy stoi człowiek w granatowym mundurze policjanta.

— Solidaryzować się trzeba razem.

— Odezwy czytajcie na murach...

Te słowa rzucone półgłosem, brzmiały już jak bezpośrednie polecenia i rady, którymi dzielą się ludzie zagrożeni wspólnym niebezpieczeństwem. Ten sztandar powiewający w górze, te słowa wymawiane półgłosem natchnęły ludzi jakby świeżym duchem, niezniszczalną nadzieją. Na co? To wiedzieli wszyscy, chociaż nikt nie wypowiadał tego głośno... I znowu padło pytanie — może to ta sama kobieta, a może inna..

— Kto to robi?

— Jest taki, co bardziej od nas chciałby wiedzieć — odezwał się Rakowski ironicznie — o macie go, właśnie idzie...

Słowom tym towarzyszył wskazujący ruch ręki. W bramie huty stanął gruby, przysadzisty dozorca Kolczyk. Na jego widok robotnicy niechętnie mruknęli, jakby potakując słowom towarzysza:

— Słusznie, ten chciałby wiedzieć. Za to mu, szpiclowi, płacą...

Ludzie zaczęli się rozchodzić, ale głos dozorcy osadził ich w miejscu. Kolczyk wyraźnie zwracał się do nich.

— Czego się gapicie, jakbyście czerwonej podszewki nie widzieli. Płacą wam za to, czy co?

— A cóż to, patrzeć nie wolno? — zaczepnie odezwał się ten i ów z gromady. Stojący dotychczas po drugiej stronie posterunkowy jakby od niechcenia ruszył w stronę ludzi. Kolczyk mówił dalej: — Lepiej by który ściągnął tak toto z komina — i poufale ściszając głos dodał zachęcająco — milionik marek zarobisz.

Zwężył swoje małe ślipia i wyczekująco przenosił je z jednej twarzy na drugą. Kobiety nadsłuchiwały zaciekawione. Milion marek — kawał grosza. Cała rodzina mogła tym bidę przez miesiąc opędzić. Ale słowa dozorcy nie wywołały wśród mężczyzn innego wrażenia, prócz niby to obojętnie rzucanych przez Rakowskiego słów:

— Nie ja wieszał, nie ja będę ściągał...

— Dyrektor nie mnie dał marki — dorzucił stary hutnik — sam pan łaź po kominach, panie Kolczyk.

— Grubyś pan jest, to pan akuratnie komin przeczyścisz i podwójnie zarobisz... — Na ten spokojny, babski głos dozorca aż się żachnął. Gruby, byczy kark poczerwieniał mu. Śmiech, który zawtórował tej ostatniej uwadze rozdrażnił go jeszcze bardziej. Spojrzał na policjanta, jakby tam szukał poparcia. Jeszcze raz zwężonymi od złości oczami przeciągnął wokół po obojętnych twarzach. Dłużej zatrzymał wzrok na twarzy Mystka, jakby sobie go przypominał.

— No co, spróbuje który? — spojrzał pojednawczo.

— Ten co zawieszał na pewno klamry podpiłował.

— Albo i prąd tam puścił — dorzucił ktoś. Dozorca zmełł w ustach grube przekleństwo. Poczerwieniał cały na błyszczącej po proboszczowsku gębie.

Andrzej Mularczyk

JANINA LIPSKA

Na zachodzie... po wojnie

CHŁOPCY Z RZYMSKIEGO PRZEDMIEŚCIA

(Fragment opowiadania)

DWA miejsca przy stole były wolne: ojca, który już od tygodnia, wraz z innymi robotnikami, nie ruszał się dniem i nocą z okupowanej fabryki — i starszej siostry, która, aby pomóc rodzinie, wyjechała na wieś do wuja — i tam pracowała na roli.

Młodsze dzieci zbyt zgłodniałe, by pamiętać o nieobecnych, rzuciły się na jedzenie łapczywie, dławiąc się rybą i chlebem. Ale matka, po zaspokojeniu pierwszego głodu przerwała jedzenie. Patrząc ze smutkiem na krzesło ojca, na którym teraz siedział Tonino, odezwała się do niego poważnie, jak do równego sobie:

— Wiesz, nie podałam im dzisiaj jedzenia.

Tonino aż odłożył widelec:

— Jak to? Dlaczego?

— Nie można było. Ani mnie się nie udało, ani żadnej kobiecie, a było nas dużo. Przyszła policja, obstawiła fabrykę, nie dali nikomu podejść do bramy. Stałyśmy ze dwie godziny, ja potem wróciłam jeszcze i jeszcze stałam, ale nic nie wskórałam. Adrianę Martelli policjant tak pchnął, że się przewróciła, Giulii Marzotto zagrozili, że ją zaaresztują, jeżeli nie odejdzie od bramy. Krzyczeli: „Chce się wam buntów i okupacji fabryk, to niech wasi mężowie zdychają z głodu!"

— I nikomu się nie udało podać im choć bułki?

— No, przecież mówię, że nikomu! — znowu zniecierpliwiła się matka. Dopiero teraz Alfredo zauważył, jak bardzo była zmęczona i blada. Chłopiec rozejrzał się po kuchni.

— A gdzie koszyk z jedzeniem?

— Schowałam, żeby dzieci nie widziały. Wszystko by zjadły!

Skończyli kolację w milczeniu. Matka zabrała się do zmywania talerzy, Tonino bawił się pod stołem, Laura usnęła w kącie, na kulawym foteiu.

Nagle Alfredo odezwał się:

— Jutro ja im zaniosę jedzenie!

— Nie gadaj głupstw!

*

Nazajutrz Alfredo poszedł na zwiady w okolicę fabryki i wrócił pełen entuzjazmu.

— Dobra jest, mamo. Policjanci stoją całym tłumem przy bramie i nie pozwalają się zbliżyć. Ale ja skręciłem na lewo, wiesz, w tę uliczkę wzdłuż muru. Najpierw jest fabryka, a potem dalej, taki długi, wysoki mur od podwórza. Niedaleko rosną drzewa, widziałaś? No, nie tak całkiem przy murze, to by było za dobrze, ale niedaleko, przy brzegu chodnika, a chodnik jest wąski. I drzewa są wyższe od muru, kapujesz, mamo?

Rozumiała. Przez chwilę zastanawiała się, potem powiedziała spokojnym, ciepłym głosem, znowu, jak do równego sobie:

— Jeżeli chcesz rzucić paczkę, trzeba wyjąć fiasko z winem i garnek z zupą. W ogóle trzeba wszystko inaczej przygotować. Elena Ravaglia da nam plecak. Złożymy się z kobietami, kupimy suchego makaronu, więcej cukru, więcej tłuszczu.

Matka wyszła do sąsiadek, zakrzątnęła się koło przygotowań. Była teraz łagodna i spokojna, jak zwykle w ciężkich chwilach. Nie zmieniła się nawet, gdy Alfredo zwrócił się z nieoczekiwanym żądaniem.

— Mamo, wyciągnij moje świąteczne ubranie i buty.

— Na co ci? — spytała, zdumiona, lecz cierpliwa.

— Bo wiesz, w ten sposób mniej będę zwracać uwagę policji. Najwięcej ich stoi przed bramą, ale kręcą się wszędzie, również i w tej uliczce z drzewami. Jak mnie zobaczą w biednym ubraniu, zaraz zrozumieją. A tak pomyślą, że to jakiś „signorino" idzie na wycieczkę i zanim się zorientują, ja już będę na drzewie.

— Boże mój, Alfredo, w końcu naprawdę policja coś ci zrobił! Pójdę z tobą!

— Nie! — krzyknął Alfredo i sam nie wiedział, że przemówił tonem dorosłego mężczyzny. — W ten sposób właśnie nic by się nie udało. Pójdę sam, chłopaki też tam będą, ale tak, że niby się nie znamy. A gdy wszystko załatwię, zaraz przyjdę do domu i wszystko ci opowiem.

Weszły dwie sąsiadki i przyznały Alfredowi rację. Bardzo pochwaliły pomysł świątecznego ubrania, a jedna z nich podała chłopcu lekarstwo dla męża, proszki w torebce i prosiła, żeby to również wrzucił do plecaka. Teraz nie tylko matka, lecz i sąsiadki zwracały się do niego, jak do dorosłego. Pomogły mu włożyć plecak, jeszcze tam coś poprawiły, żeby był jak najmniej wypukły, pożegnały chłopca ze łzami w oczach i pobiegły do okna, żeby widzieć, jak będzie przechodził.

*

Wejście do fabryki wychodzi na plac. Alfredo skręca w zadrzewioną ulicę. Fabryka jest co prawda obstawiona policją, ale znowu nie tak bardzo. Gdyby rząd de Gasperi'ego chciał otoczyć gęsto policją każde miejsce, gdzie odbywa się jakiś strajk, okupacja czy manifestacja, zbrakło by policji. Zgraja żandarmów stoi przed bramą. Natomiast na bocznej ulicy kręci się tylko jeden znudzony policjant. Uliczka nie jest bezludna, ale nie ma tam też wielu przechodniów.

Jakiś wieśniak człapie obok swego osiołka, który ciągnie wózek z jarzynami. Jakaś staruszka wlecze za rękę dziewczynkę.

Alfredo idzie po stronie przeciwnej od fabryki. Teraz już się trzeba zdecydować, na przeciwko ciągnie się mur fabryczny najeżony szkłem, i szereg drzew. Policjant jest dość daleko, niczego się nie spodziewa. Alfredo szybko przechodzi przez wąską jezdnię, dobiega do upatrzonego drzewa, wspina się jak wiewiórka, choć nowe buty trochę mu przeszkadzają. Gdy policjant, który go spostrzegł, podbiega do drzewa, Alfredo już siedzi na wysokiej gałęzi. Serce tak mu bije, że nawet nie rozumie krzyków żandarma. Trzeba wdrapać się jeszcze wyżej, rzut będzie pewniejszy. Liściaste gałęzie przeszkadzają, ale zarazem też kryją przed oczyma policjanta. Czy gałąź będzie dostatecznie mocna? Poprzez liście widzi teraz cały dziedziniec fabryczny, pusty, starannie wymieciony. Robotnicy choć siedzą o głodzie dbają o fabrykę, którą okupowali. Alfredo jakoś nie czuje już strachu. Ostrożnie zsuwa plecak, co jest długą i żmudną sprawą, bo przy tym, siedząc na wąskiej gałęzi, trzeba się trzymać to jedną, to drugą ręką za konar drzewa, a plecak wydaje się coraz to cięższy. Nareszcie trzyma go w obu rękach i odpoczywa, ciężko dysząc. Na dole policjant drze się bez ustanku, wali kolbą karabinu o drzewo, próbuje trząść, ale na szczęście konar jest dość gruby. Przyszła chwila na najważniejsze zadanie: plecak musi być rzucony tak, aby upadł prosto na podwórze: nie może zaplątać się o gałąź, ani odbić o mur.

Alfredo ściska mocno kolanami gałąź, na której siedzi. Usadowił się trochę przed konarem, tak, żeby, gdy się odchyli w tym do rzutu, mógł się oprzeć plecami o drzewo. Rozkołysał plecak w rękach, uniósł się górną połową ciała, cisnął. Chwycił się ręką bocznej gałęzi; rozchyliwszy liście, spojrzał. Plecak leżał na dziedzińcu, któryś z robotników już go dojrzał i biegł na przeciw.

Wtedy Alfredo przytulił się do konara i rozedrgał się cały dreszczem bez szlochu. Nie było to tylko odprężenie, ale i nowe jakieś nieznane wzruszenie. Widzi jak drugi i trzeci i czwarty robotnik wybiega z budynku, jak się wszyscy gromadzą koło plecaka i patrzą w górę. Alfredo nie chciał się im ukazać, obawiał się, że stojący pod drzewem policjant mógłby w jakiś sposób skrzywdzić robotników, choć byli za murem. Gdy jednak zobaczył ojca — nie wytrzymał:

— Tatusiu, tatusiu! — zawołał, rozchylając gałęzie.

Ojciec spojrzał w górę, uśmiechnął się szeroko, a potem Alfredo zobaczył, jak z dumą wskazuje kolegom na syna.

Poprzez liście Alfredo zobaczył, jak ojciec i robotnicy podnieśli plecak i weszli do budynku. Gdy już wszyscy znikli, odczuł nagle gwałtownie samotność i strach.

Spojrzał ostrożnie w dół. Policjant czatował pod drzewem, cicho jak kot, z głową uniesioną do góry, tak, że oczy dziecka zaraz spotkały jego spojrzenie.

— Teraz zobaczysz. — Powiedział głosem nie podniesionym, ale tak spokojnie okrutnym, że Alfreda ciarki przeszły.

Co będzie dalej? Policjant nie opuści swego stanowiska, to rzecz pewna. Jeszcze sprowadzi innych żandarmów. Co robić? Gdyby tak można było, jak ten plecak, skoczyć na dziedziniec fabryczny, do swoich. Siedzieć z nimi bodaj o głodzie, ale być razem, w gromadzie.

Znowu spojrzał w dół, i znowu spotkał się z oczami policjanta, ale teraz już nie cofnął swego spojrzenia. Zmierzył żandarma z taką nienawiścią, aż ten się obruszył.

— Czego tak na mnie patrzysz? Będziesz tu siedział choćby tydzień, aż zleziesz, a wtedy sobie pogadamy. Odechce ci się na przyszłość takich wyczynów, zobaczysz!

„Do ojca również policja tak się odzywa" — przebiegło przez myśl Alfreda — do ojca i do wszystkich robotników!

Alfredo ścierpł wobec nowej myśli, która go przeszyła. Co będzie, jeżeli matka, widząc, że on nie wraca, przyjdzie szukać go tutaj? Żandarm złapie i ją i zaaresztuje, a może będzie ją bił pałką gumową? Tak struchlał wobec tej myśli, że przyszło mu do głowy, czy nie lepiej będzie zejść z drzewa i samemu dać się wziąć, zanim pojawi się matka? Wtedy, choćby nie wiem jak go bili, on będzie milczał, nie powie, czyim jest synem, żeby się nie mścili na rodzicach. Tak chyba należało zrobić, jednakże Alfredo zrozumiał, że dobrowolnie z drzewa nie zejdzie, bo zbyt się boi. Na dole policjant, zniecierpliwiony tak długim wyczekiwaniem, zaczął znowu grozić, krzyczeć, trząść drzewem i walić o konar kolbą karabinu. Alfredo pomyślał, że tak czy tak, sprawa musi skończyć się źle. W końcu żandarm zawoła policjantów, przystawią drobinę i Alfredo będzie w ich rękach.

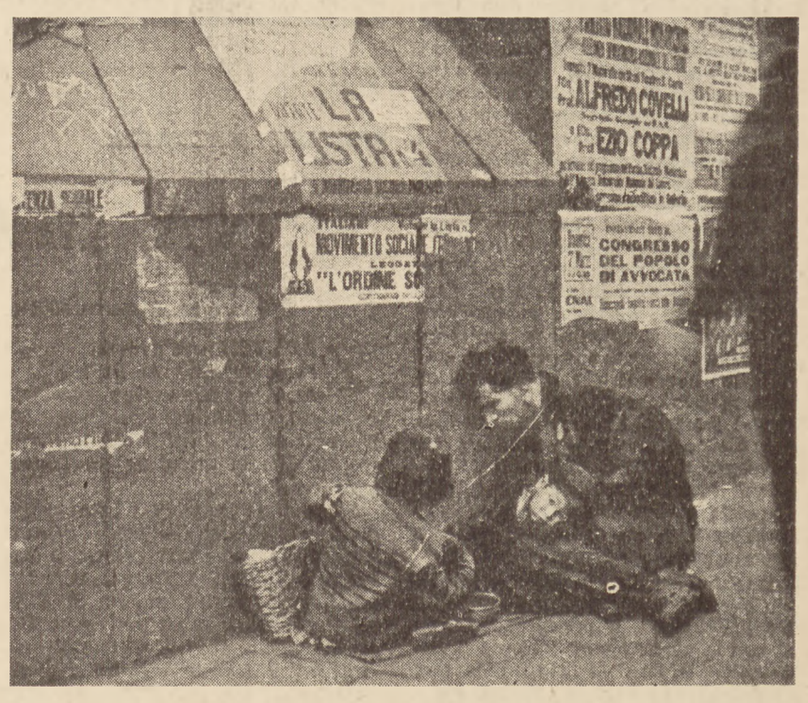

Jęknął na tę myśl, przytulając się do drzewa. A potem, nagle odczuł takie zmęczenie, że już nie miał siły nawet się bać i wszystko mu się stało obojętne. Spod zmrużonego oka śledził apatycznie policjanta, który teraz spacerował tam i z powrotem, gwiżdżąc z wściekłością jakąś melodię.

Właśnie w tej chwili jezdnią przebiega gromada chłopaków, przebiegają nawet nie krzykliwie, ale jest w nich coś wyraźnie wyzywającego, i żandarm spogląda w ich kierunku z usprawiedliwionym niepokojem. Istotnie chłopcy zatrzymali się przy końcu długiego muru fabrycznego, wyciągnęli farbę i pędzel i zaczęli coś pisać. Policjant na dole, a Alfredo na drzewie, wydłużyli szyje, czekając, co będzie dalej. Lecz gdy policjant zobaczył pierwsze słowa napisu: „Niech żyje..." zrozumiał.

Żandarm miał ważne powody, by nie wzywać kolegów na pomoc. Ostatecznie — jeżeli mały łobuz wszedł na drzewo, było to jego niedopatrzeniem i winą. Nikt co prawda nie widział, jak chłopak przerzucił plecak, niemniej jednak każdy zrozumie, że wszedł na drzewo nie po to, aby tam szukać gniazd ptasich. Nie tylko wyśmieją, że się dał wyprowadzić w pole przez malca, ale sprawa nie wyjdzie mu na dobre, będzie miał uwagi dyscyplinarne i zepsuje sobie opinię. Toteż żandarm jest zdecydowany nie ujawniać kolegom smarkacza, siedzącego na drzewie, z drugiej zaś strony nie będzie miał spokoju, jeżeli nie wygarbuje mu skóry. Toteż jeszcze nie ma zamiaru odstąpić od drzewa i krzyczy groźnie w stronę chłopców:

— Wynoście się! Rozumiem wasze sztuczki, chcecie pomóc koleżce. Ale nic z tego nie będzie, dostanie się i jemu i wam, zmykajcie póki czas.

Chłopcom trzęsły się ręce, było to widoczne, litery wychodziły koślawo i niezdarnie. Pisali jednak w dalszym ciągu. Po „Niech żyje" pojawiło się wielkie T, potem „o". „Niech żyje Togliatti".

— Pójdziecie wy do diabła? — wrzasnął policjant. Chciał zagrozić strzelaniem, ściągnąć dla postrachu karabin, ale przechodnie zaczęli się zatrzymywać.

Policjant zaklął i podniósł pięść ku drzewu:

— Jeszcze się z tobą porachuję! Jeszcze wpadniesz ty w moje ręce!

Odstąpił od drzewa, biegnąc w kierunku chłopców. Dopuścili go dość blisko siebie, dopiero w ostatniej chwili rozbiegli się. Alfredo był już dawno na drugim końcu ulicy. Skręciwszy na plac, zobaczył w biegu gromadę kobiet, wśród których wysunięta przed wszystkimi, stała jego matka.

Janina Lipska

EWA WARZENICA

«POWIEŚĆ LUDOWA»

1.

HISTORIA kołka w płocie"*) zamyka 20-lecie twórczości Kraszewskiego, w którym tzw. „sprawa chłopska" wysunęła się na czoło problematyki jego utworów. Zainaugurowała je bardzo szczęśliwie „Ulana" — pierwsza polska powieść tego typu; najważniejsze etapy oznaczały utwory: Ostap Bondarczuk (1847), „Ładowa pieczara" (1852), „Chata za wsią" (1854-55) i komedia „Stare dzieje" (1859).

Powieści o tematyce chłopskiej nosiły wyraźniejsze piętno żywej aktualności niż pozostałe współczesno-obyczajowe, osnute wokół konfliktów wewnątrzklasowych obszarnictwa. Wynikało to z całokształtu sytuacji społecznej, w której „sprawa chłopska" była aż do chwili uwłaszczenia węzłowym konfliktem epoki. Analizy historycznoliterackie tych utworów wykazują nawet, że większość z nich stanowiła po prostu głos w dyskusji publicznej, która trwała nieprzerwanie przez kilka dziesiątków lat z pogłębiającym się z roku na rok antagonizmem klasowym na wsi pańszczyźnianej. Taką wypo-

Rys J. I. Kraszewski

wiedzią dysponującą jest np. „Ulana". Główna linia argumentacji tej powieści ukazująca fatalny wpływ systemu pańszczyźnianego na psychikę i umysłowość chłopską, szła równolegle z kampanią demokratycznego „Przeglądu Naukowego". Bardzo aktualna była również „Historia kołka w płocie". Sam autor mówi o niej, że była „pamiątką ciekawej walki" podczas prac szlacheckiego „komitetu"; ale i bez tego oświadczenia łatwoby nam było ustalić jej aktualno-bojowy charakter.

Polemiczne wypady Kraszewskiego w „sprawie chłopskiej" dokonywane były w ciągu 20-lecia z kilku różnych, zmieniających się kolejno stanowisk: z demokratycznych pozycji „Ulany" i „Historii Sawki" przeszedł Kraszewski po 1848 r. na stanowisko zachowawcze. Odnosił się wówczas bardzo krytycznie do kapitalizacji wsi (jaskrawy przykład — „Choroby wieku", 1856 r.).

„Ładowa pieczara" napisana w 1852 r. kreśli obraz wsi, w której nie tylko zatarte zostały wszelkie antagonizmy klasowe, ale autor wprost stwierdza „szczęśliwość" pańszczyźnianego stanu. „Choroby wieku" z 1856 r. są ostrą krytyką kapitalizacji wsi. Ale jest to ostatni przejaw ideologii zachowawczej. Zmiana poglądów nastąpiła jeszcze przed 1860 r. Komedia „Stare dzieje" oraz „Historia kołka w płocie" wyrażają tendencje do przemian burżuazyjnych i likwidowania systemu pańszczyzny.

Burżuazyjna historia literatury zwykła określać omawiany typ powieści Kraszewskiego terminem „ludowe". Nazwa ta utarła się od czasów ich powstania, tak bowiem określał je sam autor, tak nazywała je „Księga Jubileuszowa" z 1879 r., gdzie wydzielono „powieści ludowe" w osobnym rozdziale. O ile taki podział był politycznie uzasadniony w pierwszej połowie XIX w., ponieważ silnej podkreślał nowatrstwo tematu łączył się z aktualną walką o przemiany społeczne, w okresie późniejszym stał się podziałem formalnym, logicznie nieuzasadnionym. W okresie pańszczyźnianym życie chłopów było tak ściśle związane z dworem, z życiem szlachty, że „powieść ludowa" musiała reprezentować obszerny krąg zagadnień, musiała ukazywać wzajemne powiązanie wsi z dworem. Wskutek tego „powieści ludowe" były w istocie odmianą powieści współczesno-obyczajowych, ale odmianą pierwszorzędnej wagi dla rozwoju polskiego realizmu. W tym typie powieści doszedł do głosu bohater ludowy jako osoba główna i działająca.

2.

Sprawa chłopska rozwiązana została w Rosji w 1861 r. Manifest rządowy usiłował nadać zarządzeniu cechy dobrowolnej decyzji podjętej przez „najmiłościwiej panującego" dla dobra pracowitych kmiotków. Rzeczywiste przyczyny wyglądały zupełnie inaczej. Sytuacja rewolucyjna lat 1859-61 zmusiła rząd do ustępstw i wykonania zaplanowanej reformy.

Tendencje do zasadniczych reform państwowych zaznaczyły się od chwili śmierci Mikołaja I, z którą zbiegła się klęska wojny krymskiej. Ustrój feudalny, trzymany żandarmską ręką starego cara wykazywał znamiona zupełnego rozkładu. W skali ogólnopaństwowej objawiał się on poważnymi deficytami skarbowymi, które pogłębiały się równolegle do ruiny gospodarstw pańszczyźnianych. Dotychczasowa praktyka łatania niedoborów przez protekcjonowanie wysoko wypłacalnych podatników, praktyka dogodnych warunków dla rozwoju kapitału przemysłowego, przyśpieszyła proces kapitalizacji wbrew założeniom carskiej kancelarii i podważyła gospodarcze podstawy starego ustroju.

Z drugiej strony działały prawa rewolucyjnego nurtu chłopskiego. Ilość ognisk buntu wzrastająca szybko od kilku dziesięcioleci tak przybrała na sile w okresie wojny krymskiej, że nawet rząd zrozumiał konieczność szybkich zmian. Ale z drugiej strony liczył się z oporem mas szlacheckich. Aleksander II następująco tłumaczył w 1856 delegatom szlachty moskiewskiej konieczność reform: „Chodzą słuchy, że chcę dać wolność włościanom; nie jest to prawdziwe i możecie to powiedzieć wszystkim na prawo i lewo; lecz uczucia wrogie między włościanami a obywatelami ziemskimi na nieszczęście istnieją i było już kilka wypadków nieposłuszeństwa wobec właścicieli ziemskich. Jestem przekonany, że wcześniej czy później powinniście dojść do rozwiązania tej sprawy. Sądzę, że podzielacie moje zdanie; tak więc o wiele lepiej, aby to przyszło z góry niż z dołu".

W pierwszym etapie prac reformatorskich powołana została przez rząd sieć „komitetów ziemiańskich", które miały przedyskutować publicznie sposoby „najlepszego" rozwiązania sprawy chłopskiej. W ten sposób zażegnany został chwilowo ogólny protest szlachty wciągniętej do rzekomej współpracy z rządem.

„Komitety ziemiańskie" powstały również na ziemiach ruskich, m. in. w Żytomierzu, do którego należał Kraszewski jako właściciel Hubina. Na tych terenach członkowie komitetów mieli twardszy orzech do zgryzienia niż ich towarzysze w głębi Rosji. Polskiej szlachcie chodziło o znalezienie pośredniej drogi, aby z jednej strony nie skrzywdzić siebie przez większe ustępstwa, a z drugiej nie dać się wyprzedzić inicjatywie rządowej, co wywołałoby w chłopach przeświadczenie o carskiej opiece nad ludem.

Józef Kraszewski nie dostał mandatu poselskiego. Pominięcie jego osoby w tak ważnej chwili politycznej było policzkiem. Wybitny pisarz mający za sobą ponad 25 lat pracy twórczej i społecznej przeżył ten fakt bardzo boleśnie, ale czuł się moralnie uprawniony swoją przeszłością do wpływania na tok obrad. Dlatego, choć nieproszony wysłał na ręce marszałka obradującej szlachty obszerny memoriał przedstawiający własny punkt widzenia.

Memoriał utrzymany w ramach burżuazyjnej reformy wywołał gwałtowny protest konserwatywno - feudalnej większości. „Miałem dużo przykrości w sprawie publicznej — pisał bezpośrednio potem do brata — powaśniłem się z połową świata tutejszego o włościańską przyszłość, ale o tym pisać nie chcę".

Ale to był dopiero pierwszy akt dramatu. Zakończył się on dość mechanicznie półrocznym wyjazdem pisarza za granicę. Akt drugi zaczął się w styczniu 1859 r. w chwili ukazania się w „Gazecie Warszawskiej" „Listów" Kraszewskiego. Bezpośrednią przyczyną był fakt, że po powrocie pisarz zastał obrady komitetu żytomierskiego na tym samym punkcie, na którym utknęły w momencie jego wyjazdu. „Listy" napisane z wielką pasją polemiczną rozpętały prawdziwą burzę. „Ze wszystkich stron posypały się na Kraszewskiego srogie rekryminacje i listy bezimienne, pogróżkami i brutalstwem zaprawione". W odpowiedzi na to Kraszewski pisze „Historię kołka w płocie", która ściągnęła na głowę autora nowe gromy. Przykrości wywołanych ogólnym napadem współobywateli nie zdołały zatrzeć późniejsze mediatorskie starania i toasty wznoszone na cześć pisarza podczas uroczystego bankietu wydanego przez marszałka powiatu. Kraszewski zdecydował się opuścić rodzinne strony i przenieść się na stały pobyt do Warszawy, mając na widoku redaktorstwo „Gazety Codziennej".

3.

Świat feudalny leżał zawsze na linii obstrzału postępowej literatury krajowej, która po 1840 r. okazywała bardzo żywe tendencje do przemian burżuazyjnych. Utwory Wolskiego: „Halka", „Ojciec Hilary", czy nieco wcześniejsza „Ulana" Kraszewskiego w sposób silny i przekonywający demaskowały nadużycia feudalnego systemu społecznego walcząc równocześnie o poszanowanie praw człowieczych uciemiężonego chłopstwa. Twórczość Berwińskiego i Ehrenberga reprezentowała nawet skrzydło ludowej rewolucji. „Czerwone morze krwi" dzieliło wieś od dworu. Ale mimo tych ataków mit cichego dworku, reprezentującego najlepsze cnoty patriarchalne przetrwał niezachwiany do czasów pozytywizmu. Literatura przedpozytywistyczna nie zdemaskowała w pełni szlagona.

„Historia kołka w płocie" stanowi jeden z nielicznych wyłomów w ogólnym nurcie stając się tym samym pozycją niecodzienną na gruncie naszego powieściopisarstwa doby międzypowstaniowej. Nawet dzisiejszego czytelnika zaskakuje niezwykła ostrość spojrzenia na otaczające stosunki. Świat szlagoński ukazany został w nagiej rzeczywistości i odarty z mitów, które go otaczały od wieków. Współczesny hreczkosiej obejrzany został ze wszystkich stron: moralnej — jako członek rodziny i od strony jego roli społeczno - gospodarczej. Autor nie znalazł w nim zalet, ani co więcej — zadatków, zapowiadających w przyszłości jakąś zmianę. Obraz dworku Rogalów ukazywał oczom czytelnika historię upadku szlachty jako klasy, przeistaczanie się historycznych Rogali Kijewskich na „zwykłe Rogalicki". Zdemaskowane zostały bezpowrotnie mity, na których opierał się gmach dobrego samopoczucia szlacheckiego.

„Rogalowie... pojmowali sobie przeznaczenie i funkcję szlachty w sposób całkiem oryginalny, pewni naprzód, że szlachcica największym obowiązkiem jest próżnowanie — czytamy w powieści. — Po wtóre, że szlachcic wszystko umie choć się niczego nie uczy i do wszystkiego jest zdolny skoro pieczętuje się starym klejnotem. Po trzecie — że nie ma dlań ani za wysokich stopni, ani wyżyn niedosiężnych. Po czwarte, że obowiązkiem jego jest uczciwie i porządnie życia zakosztować, a w żadną robotę nużącą i odbierającą siły i umysł wycieńczającą się nie wdawać. Po piąte, że wąsy nosić powinien."

Autor zajrzał również do pańskiej stodoły i kancelarii. Ogólna ruina, niedbalstwo i nędza ostatecznie kompromitowały gospodarkę pańszczyźnianą. „W karczmie szedł szynk doskonale, wódka rozsprzedawała się wyśmienicie, ale pola bywały niepozasiewane i zapasów w stodołach nie znalazłeś".

Rogala nie był człowiekiem złym. Był dobrodusznym pasożytem, który całe życie przesiedział na fotelu z fajką w zębach; głębokie medytacje nad życiem przerywał gawędą ze służbą i jedzeniem. Podobnie wchodzili w świat jego synowie. W tym doborze cech widać lwi pazur pisarza. Dziedzic nie miał ciężkiej ręki dla chłopów, panicze nieszkodliwi zajmowali się tylko

Rys. J. I. Kraszewski

kartami, końmi, polowaniem; panienka była dobra jak anioł, ekonom nie okradał chłopów — a mimo tego czytelnik musiał wywnioskować z przedstawionego obrazu, że ten świat nie jest godzien dłuższego życia. Pogarda dla nauki skazywała nadto przedstawicieli klasy rządzącej na ciemnotę, lenistwo, na zagładę.

Pierwszy raz w twórczości Kraszewskiego i bodaj pierwszy w literaturze przed 1863 r. obnażone zostały tak ostro wady systemu społecznego, wady rozłożonego zupełnie feudalizmu. Dzięki temu omawiana powieść reprezentuje granicę nowej epoki i może być śmiało zaliczana do pozycji wczesnego pozytywizmu.

„Historia kołka w płocie" napisana została w wigilię carskiego uwłaszczenia. Ta okoliczność musiała w pewnym sensie zaważyć na sposobie postawienia drugiego „wątku", historii chłopskiej rodziny Pakułów. Wieś ukazana została jako społeczny i moralny pozytyw, kontrastowo odbijający od atmosfery dworku. Pisarz wysoko ocenił wrodzoną „chłopską filozofię", życiowy spryt, pracowitość, zapobiegliwość codziennego dnia. Parobczak Sachar na głowę bije głupawych paniczów, Semen leniwego papę, atmosfera rodzinnego przywiązania pod chłopską strzechą nudę i konwenans szlacheckiej bawialki. Życie wsi ukazane szlacheckiemu czytelnikowi w tych proporcjach mówiło samo przez się, że chłopi nie tylko „dorośli" do pełnej wolności, ale nawet przewyższają tych, którzy nad nimi przewodzili.

Wyborem fabularnego konfliktu dobitniej jeszcze podkreślił autor zasadniczą tezę powieści. Dramat życiowy utalentowanego artysty-pańszczyźniaka wykazywał zupełną nonsensowość i zbrodniczość istniejącego układu. Burżuazyjna krytyka literatury zarzucała Kraszewskiemu nieprzekonywającą argumentację decyzji Sachara. decyzji powrotu na wieś, który stał się pośrednią przyczyną jego życiowej klęski. „Do wioski nie ściągnęła go (Sachara) przemoc, lecz tęsknota; własne jego miękkie, łzawe usposobienie było główną przyczyną jego zawodów" (Chmielowski).

To prawda, ale nie w wyborze cechy usposobienia leży sedno sprawy.

Sachar od wczesnej młodości uznany został za człowieka zbędnego w swoim środowisku dlatego tylko, że wyrastał nad otoczenie iskrą prawdziwego talentu. Ucieczka przed rotami rekruckimi, które według patriarchalnego zwyczaju były przymusową przystanią wszystkich pańszczyźniaków niezdolnych do pługa, nie rozwiązały dramatu tego człowieka. Formująca się

Rys. J. I. Kraszewski

struktura kapitalistycznego społeczeństwa miejskiego nie dała mu życiowej pozycji. Ani tajemniczemu mentorowi ani Sacharowi nie chodziło o łatwy zarobek na pijanych weselach małomiejskich: chodziło im o sztukę, o wypowiedzenie się w kompozycjach opartych na motywach ludowych. Tego nie potrzebował świat filistrów snobujący się zagranicznymi modami. Nauczyciel Sachara zszedł ze świata z rozpaczą niespełnionego zadania. Sachar natomiast nie umiejący samotnie przedzierać się przez życie miejskie wrócił do rodzinnej wsi, aby przeżyć tu trzeci i ostatni etap dramatu człowieka niepotrzebnego społeczeństwu.

Oskarżenie pisarza godziło tu nie tylko w feudalnych Rogalów, używających utalentowanego muzyka do lokajskich posług, a jego kunsztu do pląsów dworskich. Problem Sachara to nie tylko problem „Janka-muzykanta", problem talentu nierozwiniętego wskutek krzywdzącego układu stosunków społecznych. Oskarżenie Kraszewskiego skierowane zostało również pod adresem mentalności formującego się społeczeństwa burżuazyjnego pod adresem środowiska filistrów nie rozumiejącego prawdziwej sztuki. Ideolog pozytywistyczny Piotr Chmielowski dlatego właśnie wołał dostrzec w dramacie bohatera powieści człowieka zniszczonego przez własne łzawe usposobienie niż przez świadomość zbędności własnego talentu.

4.

Już w swojej młodzieńczej twórczości wypracował Kraszewski specjalny styl literackiej wypowiedzi, która wyróżniała go od wszystkich współczesnych pisarzy. Scharakteryzować go możemy w najogólniejszych rysach jako stateczny i moralizatorski ton wykładu powieściowego, ton perswazji i zachęty do poprawy błędnych dróg życia, obszerna opisowość zjawisk, mało wymyślna, ale za to jasno przeprowadzona fabuła utworu. Krytyka zarzucała Kraszewskiemu niedopracowanie artystyczne utworów, grzech dłużyzn, nadmierną gadatliwość, niepotrzebne powtórki elementów treści, ale usprawiedliwiała je natychmiast specjalną techniką pracy. Pamiętniki Brzostowskiego o Kraszewskich stanowiły tu główną podstawę. To prawda, że Kraszewski pisał bardzo pośpiesznie, że tom powieści powstawał tak szybko, jak tylko pozwalała na to sama technika pisania, że autor z zasady nie wracał do gotowej powieści, nie czytał jej ani nie poprawiał. Ale nie sama technika determinowała styl literacki Kraszewskiego. W takich samych bowiem warunkach pośpiesznej pracy powstała „Historia kołka w płocie", dająca czytelnikowi zupełnie nieznaną w twórczości Kraszewskiego próbkę języka i stylu. Zadecydował tu moment większej dojrzałości ideologicznej, rozszerzający społeczne horyzonty; zadecydowały czynniki uczuciowe — wielka pasja polemiczna, która wypracowała język pełen błyskotliwych dowcipów, ironicznych wypadów i wyraźnie adresowanych dygresji. Ta sama pasja polemiczna i jasność widzenia prawdziwych proporcji świata podsunęła pomysł dowcipnej konstrukcji materiału powieściowego, pomysł dwu pozornie różnych wątków: realistycznego i fantastycznego — środowiska Rogalów i Pakułów z jednej strony a historii tytułowego kołka w płocie z drugiej.

Krytyka literacka okresu jubileuszu pisarza odczytywała dwoisty układ wątków jako prostą paralelę; „Historia jego (Sachara) jest analogią historii kołka w płocie". Takie zresztą sugestie wypływają w pewnym sensie z zakończenia powieści. Dębowy kołek dzięki małemu nakładowi pracy stał się wykwintną laską. Ale zacieśnienie roli wątku do prostej paraleli wulgaryzuje kapitalny pomysł literacki. Antropomorfizowana historia kołka odgrywa w powieści pierwszorzędną funkcję. Jest nie tylko stelażem utworu, ale równocześnie w niezwykle precyzyjny sposób popiera argumentację wątku realistycznego. Czy może istnieć lepszy chwyt polemiczny niż wywodzenie rodu kołka dębowego i ustalanie szlachetnych protoplastów przeprowadzone w sposób klasyczny heraldycznych poszukiwań szlacheckich, lub ukazanie przebiegu walki między leśnymi drzewami o uznanie wyższości pewnych gatunków, przeprowadzony w kategoriach argumentów rzucanych pod adresem chłopów w dyskusjach komitetowych. Jedność treści i formy wystąpiła w tej powieści w sposób przykładowy.

„Historia kołka w płocie", mająca wszelkie szanse zadowolić nawet bardzo wybrednego czytelnika, należy do grupy najświetniejszych powieści Kraszewskiego. Bojowa treść i świetna forma literacka stanowią o jej nieprzemijającej wartości. W historii twórczości Kraszewskiego omawiana powieść stanowi piękne zakończenie przedemigracyjnej działalności.

Ewa Warzenicą

*) J. I. Kraszewski „Historia kołka w płocie". Spółdzielczy Instytut Wydawniczy 1949.

WOJCIECH BREOWICZ

NA MARGINESIE PAMIĘTNIKA

Kurytyba, 6 marca 1952 r.

ZBIEGIEM okoliczności wpadł mi w ręce Nr 12 (49) WSI z recenzją pierwszego rozdziału mego pamiętnika. Z kolosalnym, ale niezawinionym opóźnieniem, chcę skreślić kilka uwag na marginesie tejże recenzji.

Słuszne są zarzuty, postawione przez ob. Piotra Chmurę. Słuszne dlatego, że pamiętnik chłopa winien być niekłamnym i żywym odbiciem przeżytych cierpień moralnych i fizycznych na tle właściwej epoki, którą dla mnie były lata niewoli austriackiej i jeszcze cięższej i smutniejszej niewoli pod batem rodzimej reakcji i faszyzmu, w szponach nędzy, wyzysku, upodlenia klasowego i poniżenia godności ludzkiej. Słuszne dlatego, że nie czas pisać o różach, gdy płoną lasy, nie czas opisywać piękne natury i własne lubostki dziecięce — ale krzyczeć o piękne budzącej się myśli chłopskiej i czynach w znaczeniu społecznym i klasowym. O budzącej się myśli..., zrywach, dążeniach i darciu się ku rozbłaskom dni, które miały i musiały przyjść w grzmocie burzy dziejowej, poszumie przemian społecznych, gospodarczych i w ogóle ustrojowych, których gruntowania jestem świadkiem, chociaż nieobecnym, a które stalowymi rękami i stalową wolą budujecie w Nowej Polsce Ludowej, na fundamentach sprawiedliwości, równości, wolności, dobrobytu ogólnego i dźwiganiu człowieka wzwyż z niedawnego błota upodlenia i ciemnoty. A przecież podobne myśli budziły się już wówczas w mojej wiosce, szeptano na wieczorowych „fajkach", zaczynały raczkować — choć nieśmiało, bezplanowo — bo też bez przewodnika i światła z zewnątrz.

Słuszne są zatem zarzuty ob. Piotra Chmury. Przyjąłem je, jak najgłębiej do wiadomości i głęboko wzruszony, poddałem sam siebie gruntownej rewizji.

Chcę dlatego wspomnieć o niektórych okolicznościach, które nolens volens wpłynęły na taki charakter pamiętnika. Nie uważam tego za próbę usprawiedliwiania się. Jestem wrogo usposobiony do wszelkiego rodzaju takich usprawiedliwień, które w gruncie rzeczy nie mogą już wpłynąć na zmianę struktury dokonanego czynu. Palnęło się głupstwo, trzeba się bez pardonu przyznać do jego autorstwa, przyrzec sobie i ludziom poprawę i nie zbaczać więcej ze świadomie obranej linii. Bezduszne usprawiedliwianie się, jest wadą słabych i chwiejnych charakterów, które po otrzymanej „szkole" przyznają się w tomowym dyskursie do winy, co zwykle nie przeszkadza im w powrocie do starych błędów.

Oto, co mogę powiedzieć:

Białe plamy, czyli niedociągnięcia, figurujące w pamiętniku, o których recenzja wspomina, uderzyły mnie samego po pewnym czasie, skoro ukończywszy pisanie, zabrałem się do autokrytycznej oceny całości. Pamiętnik pisałem „na kolanie" i wysyłałem „ratami na gorąco". Pisałem bez możliwości przejrzenia jakiegokolwiek pamiętnika spod pióra pisarza postępowego, szczególnie pisanego w dzisiejszych warunkach, otwierających zamknięte kiedyś usta prześladowanym autorom. Pisałem bez przygotowania, bez żadnego „indeksu" rzeczy, które należało wywlec na światło dzienne — i to koniecznie, w imię historycznej prawdy i dokumentacji. Spostrzegłszy braki i wady, przystąpiłem niebawem do przebudowy całego pamiętnika w sensie odlania wody, wyrzucenia nieciekawych głonów i śmieci. Wszedłem na szersze podwórko, na którym brało się kiedyś baty. Obecnie — nie tylko 1-szy rozdz., ale cały pamiętnik postawiłem na względnej wysokości zadania, jako rzecz społeczną i klasową na tle omawianej epoki.

✻

Wspomniany rozdział obejmuje lata dziecięce. Pisząc pierwopis, nie sądziłem, aby zagadnieniom społeczno-klasowym wsi poświęcać z punktu widzenia dziecka szersze uwagi i obejmować je nieistniejącym w tym wieku rozumowaniem. A przecież w tym właśnie „rozumowaniu" tkwi główny trzon błędu. Przecież uczestniczyłem w tych okropnościach wsiowych. Przecież na własnej skórze doświadczałem smoły i siarki ówczesnego ustroju „bojaźni bożej" i umierających na suchoty głodowe moich rówieśników! Przecież pamiętam, że nie przyjąłem kromki chleba z masłem od wsiowego bogacza Leśniaka, któremu zaniosłem list, przyniesiony przez matkę z poczty. Dlaczego nie przyjąłem? Nie dlatego, że się rodzicom „ociupinę" lepiej powodziło niż innym takim samym biedakom, którzy za chlebem dla dzieci po Amerykach się włóczyli — ale dlatego tej kromki „ze stołu pańskiego" nie przyjąłem, że już wówczas istniały w mej dziecięcej głębi iskierki nienawiści i pogardy dla pełnych brzuchów bogackich, a które to idee zaszczepiły w moim sercu buntownicze opowiadania mojego dziadka i ojca. Przecież już wtedy czułem swoją odrębność klasową, niższość społeczną, potęgowaną choćby brakiem butów i ubrania w porze zimowej, kiedy synalkowie bogaczy przechodzili obok w nowych butach i „ubraniach z miasta". Nie przyjmując chleba, musiałem zdawać sobie sprawę z jakiejś niesprawiedliwości, wynikającej z nierównego podziału dóbr, co było kamieniem żarnowym cisnącym środowisko wsi rodzinnej i całej najdalszej okolicy. Wygrzebałem te rzeczy z popiołów i spod sterty zeschłych liści i cuchnącego śmiecia niepamięci i kazałem im żyć w drugiej, ostatecznej redakcji pamiętnika. Z chwilą przepisania całości na maszynie, chcę przesłać go pod adresem, o którego wskazanie upraszam. Dlatego też niniejszym upoważniam Redakcję „Wsi" do unieważnienia całości nadesłanego poprzednio pamiętnika.

✻

I jeszcze jedno..

Dwudziestoletnie chmury rozłąki z ziemią rodzinną, z postępującym u Was dychem przemian, zupełnie odmienne warunki istnienia w obcym środowisku, ciężar ustroju, poczucie osamotnienia, gdy tyle siły w Ojczyźnie, ustawiczna walka o byt, walka z klimatem i walka z myślą o „wszelkiej ewentualności" i wiele innych, znanych Wam chyba z opowiadania, czynników — to wszystko, jak zbrodnicza ręka, zaciera na horyzoncie minionych lat przeżyte wydarzenia i koleje, przytępia ostrość szczegółów, ukazując przed oczyma wyobraźni jakąś bezładną, zamazaną plamę, którą trzeba dopiero rozbijać żarem buntu, zahartowanym w latach późniejszych — aby wydobyć z dalekiej przeszłości sens godny ducha dzisiejszego postępu... A brak z kraju wszelkiego rodzaju lektury, czy nie mści się, nie zabija?

I końcowe:

Czas, drogi czas leci, realizuje „sny o potędze", tworzy nowe światy — a my na emigracji zatrzymani w czasie i myśli cofamy się wstecz, klnąc bezskutecznie sytuację. Nam się tylko zdaje, że robimy wiele dla towarzyszy, że trzymamy z nimi rękę w rękę, dźwigamy z błota ciemnoty, wskazujemy nowe horyzonty. Nam się tylko tak zdaje Bo jakże to wszystko, choćby i tak było, zmierzyć z duchem czasu, z prawdziwymi Waszymi zmaganiami? Pomimo wszystko, zdaje się nam, że zapalamy surowe drwa po świecie, że zgarniamy coraz więcej błota z szyb, przez które powinno kiedyś zaglądnąć słońce. Ale chwilami nam się zdaje, że jesteśmy tak marni, jak te meduzy - wymoczki, które nie zduszą rekinów, nie spełnią roli Tytanów.

My, „wymoczki - meduzy" za słabi jesteśmy, słabością wynikającą z odległości przestrzennej i twórczego ducha postępu, jakim pełną piersią Wy oddychacie. My możemy być świadkami tego wszystkiego tylko w snach. Skrzepły by „wymoczki - meduzy", gdyby poddać je choć chwilowemu nagrzaniu przez słońce gleby ojczystej. Skrzepły by na miarę dzisiejszą. Bo chociaż zapalamy surowe drwa po świecie, sami jesteśmy surowi, jak ten pinior, świeżo zrąbany w puszczy brazylijskiej.

Dla wszystkich Przyjaciół i znajomych, dla wszystkich chłopów, z których rodzin ktoś wędrował do Południowej Ameryki — bratnie, chłopskie pozdrowienia z Brazylii.

Wojciech Breowicz

WOJCIECH DRYGAS

Kurdebalans

Wesołe opowiadania

KTO zna komendanta Stachurkę, ten pamięta, że wysoką rangę w Ochot. Straży Pożarnej nosił na epoletach i złotym kasku z wielką godnością. Toteż, kiedy wraz z dymisją otrzymał surową naganę, sytuacja jego w Bałdrzychowie stała się nieznośna. Starty na proch gryzł się tak mocno, że nawet kundle wiejskie, omijały go z daleka. Podle jednak postępowali sobie z nim ludzie. Zapomnieli, niewdzięczni, jak to kiedyś z braku śronej klaczki „Milki", którą okulała, komendant Stachurka zaprzągł się do beczkowozu z wałachem „Fonsiem" i jak razem, splecieni niemal jednym postronkiem, popędzili na łeb na szyję do pożaru. Złośliwi twierdzili, że komendant wypił przed tym trzy szklanki herbaty z rumem, który, jak wiadomo, rozbudza popęd do różnych nadzwyczajności. Lecz, powiedzmy sobie szczerze, kto z nas zdobyłby się na tak wspaniały wyczyn... będąc trzeźwy?

Wszelako porzućmy te rozważania i zacznijmy rzecz od początku.

Kilka tygodni temu strażnica OSP zaalarmowana została telefonem:

— Peli się, peli, halajta szpryca!

— Gdzie? — ryknął w słuchawkę komendant.

— W Zagorzycach, ino prędko, bo dym wali bez dach!

Wywleczenie z remizy beczkowozu, założenie do dyszla dwóch spasionych koni — „Milki" i „Fonsia" było dziełem jednej chwili (jedna chwila w Bałdrzychowie jest to taka jednostka czasu, która równa się co najmniej 20 minutom!). Trochę dłużej trwała żmudna, ale konieczna i przewidziana regulaminem procedura sprawdzania sprzętu pożarniczego. Komendant Stachurka, który doprowadził przenikliwość swego wzroku do takiego ostrowidztwa, że nie uszła jego uwadze żadna mucha w rosole, w sprawach dotyczących sprzętu pożarniczego zamykał oczy i polegał jedynie na wyostrzonym słuchu.

— Beczkowóz? — wykrzykiwał ponad głowy strażaków.

— Jest... — odpowiadał, jak echo starszy sekcyjny Mróz.

— Konie?

— Som...

— Dwa?

— Dwa...

— Szpryca?

— Je...

— Szturmpompa?

— Je...

— Bosaki?

— Som...

— Pięć?

— Pięć...

Długą listę ekwipunktu strażackiego zamknęły błyszczące hełmy (siedem? siedem!). Kiedy szczęśliwym trafem niczego nie zabrakło — komendant Stachurka, który odfajkował każdą pozycję z osobna czerwonym ołówkiem, wspiął się wtedy lekko na palce i urósłszy o pół cala, rozkazał wreszcie, co najważniejsze:

— Do maszyny, kurdebalans!

Do Zagorzyc nie było dalej, jak cztery kilometry. Konie gnały, jak wicher, dzwonek rozdzierał uszy, strażacy, malowniczo porozmieszczani z obu stron beczkowozu, czynili wszystko, aby nadać sobie wygląd tygrysów. Lecz, o chwilo nieszczęsna! Tam, gdzie rzeczka Mrawka przecina drogę, zamiast mostu — dziura.

— Prrr... — ściągnął lejce woźnica. Konie przysiadły na zadach, beczkowóz znieruchomiał. Co u licha? Biedny komendant Stachurka ledwo nie oszalał. Zagorzyce pod nosem, widać już wąską strużkę dymu, wspinającą się ponad drzewem, a oni... tfu — stoją i gapią się w dziurę. W dole chlubocze wesoło woda, można brodzić w niej po pachy, ale konie z beczkowozem nie przejdą!

W sytuacjach, które określa się mianem „bez wyjścia", komendant Stachurka znajdował zwykle jakąś szpareczkę, wąziusieńką, nieraz jak nitka, którą poszerzał, poszerzał i choć nie bez trudu — wydostawał się na zewnątrz. I tym razem zdało mu się, że go niebo natchnęło.

— Do bazy, kurdebalans! — rozkazał, grzmocąc na odlew leniwą „Milkę". — Będę kierował akcją telefoniczne!

Telefon w Zagorzycach odebrał sam sołtys. Trzęsła mu się widać ze wzruszenia broda, bo w słuchawce wyraźnie szczękały zęby, a głos łamał się, jak w fujarce z wierzby.

— Jestem z wami, dzieci! — dodawał mu otuchy komendant Stachurka. — Będziemy lokalizować! — i przystępując do wykonywania swych czynności służbowych, wrzasnął w telefon:

— Daleko od studni?

— Od której?

Od najbliższej...

— Chwila napiętej ciszy i wreszcie odpowiedź:

— Od najbliższej będzie ze dwadzieścia kroków, ale trzeba by sprawdzić...

Komendant Stachurka przymknął ze zdenerwowania powieki.

— To już nie sprawdzajcie — zachrypiał. — Ustawcie teraz szeregiem ze dwudziestu chłopów z wiadrami, lewą ręką do obiektu, prawą — do zbiornika. Wykonanie meldować! Ino szybko!

Lecz sołtysowi coś się tam pomyliło, bo po dłuższej chwili ozwało się w słuchawce szczękanie zębów:

— Dopraszam się powtórzenia, jak to właściwie jest z tymi rękami?

Twarz komendanta była biała, jak śnieg i wyglądała najzupełniej trupio. Aczkolwiek był on bardzo stanowczy wobec podwładnych, tym razem, mając do czynienia z „elementem niezawodowym", zapomniał — jak to się mówi — języka w gębie. Upłynęło więc znowu sporo czasu, zanim zdołał przekonać sołtysa, że pozwala mu się odstąpić od regulaminu i gasić ogień nieprzepisowo.

— Nieprzepisowo... — powtórzył ze trzy razy komendant Stachurka i wtuliwszy głowę w ramiona, opadł ze zgrozą na krzesło.

Na drugi dzień komponował sążnisty raport do Prezydium GRN, w którym była mowa o „obiekcie strawionym doszczętnie przez ogień" i nieudolności „miejscowych czynników w osobach sołtysa i sekretarza koła gromadzkiego ZSCh, którzy nieprzepisowo lokalizowali". Raport kończył się następująco:

„...spalony obiekt jeszcze nie sprawdzony, lecz według zeznań sołtysa spełniał on ważną rolę natury sanitarnej i jako taki służył dwóm sąsiadującym ze sobą rodzinom, obejmującym łącznie 9 (słownie: dziewięć!) osób. Od pożaru mogły zająć się inne budynki, ale się nie zajęły. Z tych więc względów, sumarycznie rzecz biorąc, jak również uwzględniając okoliczności, z których wynika jasno całokształt zagadnienia, uprasza się o spowodowanie budowy nowego mostu na drodze Bałdrzychów — Zagorzyce. Ze swej strony dzielna załoga OSP z komendantem na czele, dołoży wszelkich starań, aby olbrzymi wysiłek zadokumentowany przez świadomy odłam nie poszedł na marne..."

Prezydium GRN załatwia każdą sprawę skrupulatnie. W odpowiedzi na pismo komendanta Stachurki do Bałdrzychowa zjechała komisja drogowa w osobach ob. ob.: Macoszki i Kłaczyńskiego. Panowie ci obejrzeli starannie brzeg rzeczki Mrawki, rozpytując się szczegółowo, czy łowi się w niej piskorze, a jeśli tak, to w jakich porach dnia biorą najlepiej? Po tym rozwiedli się szeroko nad sposobami stosowania różnego rodzaju przynęt, począwszy od sera szwajcarskiego — skończywszy na dżdżownicach. Wreszcie ob Macoszka wyjął papierosy i poczęstował nimi ob. Kłaczyńskiego, ten odwzajemnił się uprzejmie zapaloną zapałką, zaciągnęli się dymkiem, odsapnęli i i wyjęli z kieszeni grube notesy.

— W kwestii formalnej — powiedział ob. Macoszka, zwracając się do komendanta Stachurki. — Do której z tych gromad należy droga?

— Do żadnej — skłonił się uprzejmie zapytany. — To, proszę panów, droga gminna, czyli że budowa mostu podlega kompetencji GRN.

Obaj panowie z komisji posmutnieli. Potem wypytywali się jeszcze do jakiej dykasterii służbowej należy Ochotnicza Straż Pożarna, a kiedy dowiedzieli się, że do gminnej — od razu poweseleli.

Kiedy już zgasili papierosy, zjedli kanapki z boczkiem i upatrzyli sobie w sitowiu stanowisko, z którego zamierzali w przyszłości łowić masowo piskorze, wsiedli do bryczki i odjechali.

W dwa tygodnie później komendant Stachurka otrzymał z gminy urzędowe pismo. Komisja drogowa zlecała mu budowę nowego mostu i to w terminie dziesięciodniowym. Koszt budowy na sumę 3 tys. zł. miał być pokryty z „funduszów własnych OSP!" Decyzję tak krzywdzącą niesłychanie strażaków, umotywowano krótko:

„Brak mostu uniemożliwia OSP wykonywanie normalnych czynności służbowych. Z tych więc względów w interesie OSP leży budowa mostu i stała jego konserwacja. Odczuwamy bezwzględną potrzebę natychmiastowego włączenia się OSP wartkim strumieniem w dzieło..." etc., etc.

Inny na miejscu komendanta Stachurki trzasnąłby pięścią w stół i krzyknął: „Hola, panowie biurokraci!" Wy jednak nie znacie Stachurki. Chłopisko uniosło się honorem, a nie posiadając „funduszów własnych", sprzedało beczkowóz z „Milką" i „Fonsiem" kolegom z OSP sąsiedniej gminy. Za uzyskane w ten sposób 3 tys. zł. zakupiło niezbędny budulec i z okrzykiem „Do roboty, kurdebalans" — pospieszyło wraz z całą sekcją budować nowy most.

Skoro poznaliście już tragedię zdymisjonowanego komendanta Stachurki, ofiary własnej nadgorliwości, pomyślcie chwilę: czy zasłużył on sobie na pełen zniewagi czterowiersz, który powtarzają za jego plecami mieszkańcy Bałdrzychowa i Zagórzyc?

„Dziura w moście,
w dole rzeczka,
u Stachurki
w głowie sieczka!"

W jaki sposób nie spojrzelibyśmy na tę sprawę — jedna rzecz stała się faktem dokonanym: panowie Macoszka i Kłaczyński wysłani zostali przez GRN na... piskorze. Niech tam - se teraz próbują dowoli sera szwajcarskiego i dżdżownic...

WOJCIECH DRYGAS

Na piedestale

POWIADAJĄ, że ludzie wybitni, skazani na wszechstronność, pojawiali się wśród starożytnych narodów w małej liczbie i na kształt świeczników. O ileż lepiej przedstawia się sytuacja obecnie. Nie przejedziesz gminy, ba, nawet gromady, żebyś nie napotkał człowieka genialnego, który widzi rzeczy z wysokości piedestału.

Lecz niewielu jest takich, jak Bartłomiej Letkiewicz — skromny, cichy, przystępny i czarujący geniusz. Nadepnij go na odcisk, a on ci nawet słówka marnego nie powie. Owszem, syknie i skrzywi się z bólu, lecz o cholerowaniu nie ma mowy. Tak, jakby usta jego przeznaczyła natura jedynie do ogłoszenia samych mądrości.

Toteż dziwi mnie ta powszechna obojętność mieszkańców gminy Niesułków, którzy przechodzą opodal domu Bartłomieja Letkiewicza bez żadnych oznak szacunku i należnego mu poważania. Klempa czerwonobiała z olbrzymimi dzbanami, wybałuszająca ślepia w stronę, gdzie w słońcu wiosennym pękają pierwsze pączki młodej wierzbiny, ściąga ku sobie więcej ciekawych, a nawet czułych spojrzeń, aniżeli genialny ten człowiek, usadowiony naprzeciw niej w oknie.

Na drzwiach wita nas dużych rozmiarów afisz: „Gminny agent kontraktacji dla gromad Niesułków, Dąbrowa i Wierzchno — godziny urzędowania od 9 — 12-tej i 15 — 17-tej. Skargi i zażalenia ob. agent przyjmuje w poniedziałki od 17 — 18-tej godz. W godzinach urzędowania wchodzić bez pukania i podawania rąk. Załatw sprawę i żegnaj!"

Pomni przepisów, które obowiązują petentów, naciskamy klamkę i wsuwamy się do wnętrza. W izbie unosi się zapach kiszonej kapusty i tytoniu. Bartłomiej Letkiewicz zapisuje coś mozolnie w czarnym kajecie. Oblicza zakontraktowane przez siebie tuczniki? Gdzież by tam obliczał! Człowiek genialny, skazany na wielkość, nie może zajmować się wyłącznie gadziną, utytłaną w błocie. Kajet, upstrzony równym pismem, zawiera tysiąc głębokich myśli i tyleż rozważań, o... akustyce.

Właśnie ta akustyka, zdawać by się mogło komuś, odarta z negliżu, odkryta i opisana w najdrobniejszych szczegółach — dopiero teraz, w kajecie Bartłomieja Letkiewicza, nabiera właściwego wyrazu, należytych wymiarów. Pasja, pasja i jeszcze raz pacja odkrywcy spływa spod pióra tego myśliciela, którego współobywatele zamiast wystawić gdzieś na katedrę uniwersytecką, zniżyli do pośledniej — w mniemaniu ob. Letkiewicza — funkcji taksacza bekonów i sztuk mięsno - słoninowych.

Lecz nie rzucajmy słów na wiatr. Weźmy do rąk czarny kajet, opatrzony skromnym tytułem: „Praktyczna wiedza o akustyce — tom I". Wspaniałe to dzieło składa się z szeregu zwięzłych pytań i zadziwiająco konkretnych odpowiedzi.

— Zacznijcie jednak od początku — zwraca nam uwagę mistrz Letkiewicz, który, jak się okazuje, jest człekiem skrupulatnym. — Tego nie wolno czytać — to trzeba studiować...

Przyznajemy mu rację i zaczynamy od początku.

W paragrafie pierwszym odkrywca-naukowiec rzuca masom takie oto pytanie:

„Skąd pochodzi brzęczenie szyb w oknach, przed którymi przejeżdżają wozy?"

Odpowiedź, z punktu widzenia naukowego, brzmi rewelacyjnie:

„To brzęczenie pochodzi od drgania ścian domu, przechodzącego do szyb, które same przez się są dźwięczne".

A pod tym celnym stwierdzeniem dopisek ołówkiem:

„Byli u ciebie Kamela, Drozd, ten łysy Wierzbicki i sołtys Jarmuzek, chcą kontraktować tuczniki, mówią, że zachodzą już po raz czwarty, ale ciebie wciąż nie ma łobuzie, pilnuj swych spraw, bo będzie źle..."

Kierujemy zdziwiony wzrok w stronę mistrza Letkiewicza, opartego niedbale o framugę pieca, który w tym samym momencie zmienia pozycję i przyskakuje czerwony do stołu.

— To się nie liczy — wyjaśnia z oburzeniem. — To, proszę panów, moja żona, kiedy wyjdę na chwilę z domu, aby przemyśleć w lesie bardziej zawiłe kwestie dotyczące akustyki, pozwala sobie podczas mojej nieobecności. Mówię kobiecie, pisz wszystko, co urzędowe w kalendarzu, ale ona wciąż myli kalendarz z moim kajetem... i weschnąwszy głęboko, dodaje: — Proszę czytać dalej...

Zagłębiamy więc nosy w następną kwestię: „Dlaczego piece wydają czasami brzmienia?"

W odpowiedzi mistrz Letkiewicz wywodzi z niespotykaną pasją:

„Ponieważ cug pieca wciąga powietrze przez wąskie szpary drzwiczek, które spełniają tu rolę mundsztuku od instumentu dętego, podczas, gdy piec to nic innego, jak rura od tego instrumentu, wydającego zazwyczaj ton dość niski. Dźwięki takowe nazywają się „harfami eolskimi". Druty telegraficzne wydają również tony podczas wiatru. Nazwa tych tonów naukowo nieustalona (ja to sam zbadam!)" — a w dopisku ołówkiem oświadczenie żony mistrza:

„Jak przyjedziesz z lasu, to leć do sołtysa, bo on, Kamela, Drozd i ten łysy Wierzbicki już po raz szósty dopytują się, jak będzie z kontraktacją, gromada czeka i czeka, a ciebie nic nie wzrusza, ty obiboku zapowietrzony, dopiero jak złożą na ciebie skargę do PZGS-u — to do rozumu dojdziesz..."

Mistrz Letkiewicz wzdycha głęboko, jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie, ileż ścierpieć muszę dla dobra wiedzy!" i zakrywa szybko dopisek dłonią.

— Panowie wybaczą, nie zauważyłem przedtem tych dopisków, zazwyczaj nie wracam już więcej do tego, co napisałem, a sprawy urzędowe tu — trzepie palcami o stół — w kalendarzu...

Przerzuciwszy kilka kartek rękopisu wskazuje miejsce, od którego należy kontynuować czytanie rozprawy o akustyce.

Pytanie brzmi: „Co to jest grzmot?" I zaraz pod nim mistrz wyjaśnia z ujmującą prostotą:

„Grzmot jest to huk piorunu, czyli t. zw. objaw akustyczny" — a w nawiasach maleńka dygresja: („Czy dobrze jest położyć się na żelaznym łóżku w czasie burzy? Niezawodnie, ponieważ piorun spłynie po łóżku, a nie po ludzkim ciele!").

To co w nawiasie przejechano bez ceremonii źle zatemperowanym ołówkiem:

„Łajdaku jeden, nigdzie cię znaleźć nie mogę, a ten Kamela, Drozd, łysy Wierzbicki i sołtys Jarmuzek byli w powiecie ze skargą, bo chłopy muszą kontraktować tuczniki w sąsiedniej gminie, ciebie znaleźć nie mogą, ale ma przyjechać do nas jeden inspektor z PZGS-u i zrobić z tobą porządek. Więc strzeż się i siedź kołkiem w domu, żebyś nie łamał sobie kariery..."

— Do tego już doszło — wzdycha mistrz Letkiewicz — że władze przeciwko mnie buntują. A przecież mam inteligencji więcej, niż trzeba, aby wypłynąć.

A widząc, że zbieramy się do wyjścia, pyta:

— Przepraszam najmocniej, z kim miałem przyjemność?

— Jestem dziennikarzem z Łodzi — a ten oto obywatel — czynię gest w stronę mego towarzysza — pełni funkcję naczelnego inspektora PZGS-u.

Wrażenie rekomendacji piorunujące. Mistrz Letkiewicz osuwa się na drewnianą ławę. Nie zemdlał jednak. I kiedy przekazuje swoją dotychczasową funkcję agenta kontraktacji Władysławowi Drozdowi — osoba, którą dotąd niesłusznie zwaliśmy: klempą czerwono - białą wsuwa głowę przez otwarte drzwi i wrzeszczy do mistrza Letkiewicza: „A ja dałam dla mleczarni 300 litrów mleka ponad plan!"

Jest to dopiero początek małżeńskiej rozmowy.

Wojciech Drygas

WŁODZIMIERZ GRAB

Na tropie wroga

JURASZCZYK przyszedłszy do przodku, ściągając kapotę, jak zwykle najpierw rzucił okiem na obudowę poprzedniej zmiany. Trzy stropnice i cztery stojaki świeżo zbudowane, to znaczy więcej niż 40 wozów węgla — myślał zadowolony.

Szukając w kieszeni kluczy od skrzyni, po które przyszedł ładowacz Badura, odwrócił się i wtedy spostrzegł, że wrębiarka nie ma połączenia z rurociągiem powietrznym. Brak było węża. Nie wierzył oczom obejmując ręką czarny otwór wylotu. Obaj zaczęli gorączkowo szukać. Przerzucili resztki węgla pozostałego z poprzedniej zmiany, przełożyli stemple na inne miejsce — nie znaleźli. Oświecając dokładnie spąg przeszukali całą dowierzchnię. Węża nigdzie nie było. Tylko uszczelka wdeptana w miał węglowy tuż przy wrębiarce świadczyła o tym, że wąż został odkręcony i zabrany.

Z przekleństwem na ustach Juraszczyk pobiegł szukać sztygara zmianowego, Koprucha.

— Pierony ognistel... krzyczał pędząc wzdłuż taśmy.

Ludzie patrzyli za nim. Stary Mudyna podniósł lampę na wysokość oczu. Ze zdziwieniem przyglądał się biegnącemu w jego stronę człowiekowi.

— Dokąd ty?... Pali się, co?... pytał zdziwiony.

—Gdzie Kopruch? Mów!... rzucił Juraszczyk przystając na chwilę. Pot rzęsistymi kroplami płynął mu po twarzy.

— Teraz nie wiem, ale był niedawno na upadowej trzeciej. Transportują rynny. Ale człowieku, jak ty wyglądasz? Co się stało?...

Juraszczyk nie mówiąc ani słowa skoczył w lewo. Mudyna stojąc w miejscu długo patrzył na płomyk lampki kołyszący się coraz dalej w czarnej głębi chodnika. Ruszył plecami.

— Zwariował chłop, czy co?— mruknął do siebie i ruszył w przeciwną stronę.

Juraszczyk wpadł na upadową w tym momencie, gdy sztygar Kopruch pomagał dwóm górnikom dźwigać wykolejony wózek. Zdziwił go człowiek pędzący na dół. Wyprostował się i czekał.

Na pewno coś się stało, przywaliło kogoś — pomyślał.

— Sztygarze.. sztygarze..— wołał w biegu Juraszczyk łapiąc oddech — węża nie ma!...

Kopruch zamrugał powiekami. Nie rozumiał.

— Wąż od wrębiarki zniknął... Nie mówił wam nic sztygar Bartyla?...

Kopruch nachmurzył twarz przypominając sobie, że nie ma czterdziestek w komorze materiałowej.

— Jak mógł zniknąć?... Przecież do napędów nie pasuje — za mały przekrój, do wiertarki za krótki. Komu był potrzebny — zastanawiał się myśląc głośno.

Górnicy przerwali pracę.

— Szukałeś pod ociosami — zapytał młody Kubosz.

— Szukałem wszędzie... Nie ma nigdzie — rzucił zdenerwowany Juraszczyk w ich stronę.

Czyżby — zastanowił się wodząc oczami dokoła. Czy czasem ten stary Duda nie robił gdzie połączenia do wentylatorów?...

— Psiakrew!... Zaklął Kopruch.

— Idziemy do komory. Zdaje mi się, że był tam jakiś stary wąż o małym przekroju. Rynny transportować pod wysyp — rzucił krótko stojącym górnikom.

W komorze spotkali rurkarza Dudę. Zapytany, czy czasem nie zabrał węża, stary obraził się.

— Za kogo mnie macie? Czy ja pierwszy dzień pracuję w kopalni? Dziecko by tego nie zrobiło... Jakże tak, unieruchomić przodek? To tylko wróg może zrobić!... Ty — przysunął się bliżej do Juraszczyka — uważaj, twoje dwieście pięćdziesiąt procent niektórych kolą w oczy... Tym lazikom i nierobom — dodał wsypując śrubki do torby.

Juraszczyk westchnął. Przeszukali z komorowym cały podrzędny magazyn.

Węża o małym przekroju nie znaleźli.

Idąc z powrotem na dowierzchnię czwartą Juraszczyk głowił się nad tajemniczą zagadką. Pozostał tylko Makryna, pracujący na pierwszej zmianie. Spotkał go na podszybiu idąc do pracy. Ale ten podał mu rękę jak zwykle mówiąc — wszystko w porządku...

Dowierzchnia czwarta zamiast czterdziestu dała na drugiej zmianie zaledwie piętnaście wózków...

II.

Mucha nie mógł sobie znaleźć miejsca. Myśl o tym, że jest wspólnikiem kradzieży, nie dawała mu spokoju. Czy nie należało by o tym zgłosić nadsztygarowi, albo zwrócić się do Komitetu Partyjnego i powiedzieć wszystko...

Opowiedzieć tak, jak było, że nadgórnik Woźniak kazał po dniówce pójść do oddziału czwartego i zabrać węża z cudzego przodka — ta myśl nie dawała mu w następnym dniu spokoju. Wracała co chwilę natrętna jak osa.

Po strzałach oberwał zwisające bryły węgla i poleciwszy młodszemu rębaczowi Partyce doglądać pracy, powlókł się ociężale na chodnik drugi. Łudził się jeszcze myślą, że Woźniakowi rzeczywiście wąż był potrzebny dla uruchomienia nieczynnej pompy. Ale woda pokryta z wierzchu grubą warstwą pyłu węglowego stała jak dawniej cuchnąca i brudna. Żółte światło lampy ślizgało się po jej powierzchni, macało stojaki w tym miejscu, gdzie przed kilku dniami znajdowała się pompa. Mucha mrużył oczy, nie wierzył jeszcze.

Zrzuciwszy z nóg skórzane buty i zakasawszy spodnie wszedł do wody. Na chwilę przykre uczucie ogarnęło całe ciało i wstrętny odór uderzył w twarz. Zawahał się — czy nie wrócić z powrotem. Przecież teraz jasno zdawał sobie sprawę, że to wszystko co mówił Woźniak i Molenda, to fałsz...

Po chwili jednak podniółszy lampę wysoko nad głową i stawiając ostrożnie stopy na sfałdowanym nierównym spągu, brnął dalej. Woda sięgała już powyżej kolan. Dotarłszy do miejsca, gdzie dawniej stała pompa, zanurzył prawą rękę w wodzie i długo przebierał palcami w gęstym mule na dnie. Pompy nie było...

— Co Woźniak wobec tego zrobił z wężem?... Dlaczego Molenda mówił, żeby z Woźniakiem nie zadzierać — myślał idąc szybko z powrotem.

Mokre nogi nie chciały wejść do butów. Wbił je wprost siłą, czując, że podeszwy odarte o chropawy, nierówny spąg, parzą niemiłosiernie. Jak najprędzej gonić pod szyb, wyjechać do góry i powiedzieć, otworzyć wszystkim oczy, że Woźniak to wróg — oto myśl, która gnała go poprzez ciemności.

Mucha przeciskał się między drewnianymi kasztami, mija bez słowa stojących ludzi pod wysypem i biegnie jasno oświetlonym przekopem. Sypie iskrami elektrowóz, bulgoce w rurach woda — do szybu jeszcze daleko... Zimny prąd powietrza chłodzi otwartą pierś.

Ludera nie wypuści bez klatki od sztygara, nie pozwoli wyjechać na powierzchnię w czasie dniówki. Górnik na chwilę zwalnia bieg.

Ale nie — musi — koniecznie musi...

Głucho dzwonią obcasy na drewnianych podkładach. W dali migają na przemian czerwone i białe światła sygnałów. Teraz już tylko prosto. Z tyłu rozlega się alarmujący głos dzwonu, pędzi pociąg naładowany węglem. Trzeba zejść z drogi.

Mucha wreszcie dociera do szybu. Idzie prosto do Ludery.

— Muszę natychmiast wyjechać — mówi nienaturalnym głosem.

Ludera pociąga z fajki. Potem w milczeniu wydawania sygnał, spoglądając z ukosa na przybyłego. Klatka szybowa podrywa się z miejsca i mknie do góry.

— Kartkę masz od sztygara? — odzywa się sygnalista pocierając ręce.

Mucha w milczeniu kręci głową. Widzi przed sobą oczy przyglądające mu się uważnie.

— Ja muszę wyjechać... Koniecznie muszę...

Ludera jest wyraźnie zdziwiony. Rusza plecami, przechodząc na drugą stronę. Prawie bez szelestu opuszcza się znów klatka z próżnymi wozami.

Otwierają się ze zgrzytem kraty szybowe, toczą się po szynach wozy.

— Ale po co?... Nie ma wyjazdu o tej porze, sam wiesz...

Jest powód! W naszym oddziale stało się coś takiego... Mucha urywa w pół zdania. Płacze się, nie może znaleźć słów.

Co?... Pożar, woda zalewa?...

Mucha milczy.

— W takim razie. — Sygnalista szybko podchodzi do telefonu. Mucha chwyta go za rękę.

Nie... nie... Nikt w oddziele ani na powierzchni nie może do czasu wiedzieć, że jestem tutaj...

Prawie przemocą odciąga rękę Ludery od słuchawki.

— Woźniak — szepce gorączkowo — Woźniak to wróg... O tym powinno wiedzieć kierownictwo kopalni i Partia.

Ludera nie ma czasu na dalszą rozmowę. Rozgląda się dokoła i bez słowa wskazuje ręką na klatkę. Po chwili silne szarpnięcie unosi go do góry.

Migają błyskawicznie światła na poziomach. Raz... dwa... trzy...

A potem znów ciemno. Klatka szybowa kołysze się, ociera o legary, mknie coraz wyżej.

Włodzimierz Grab

SIEDEM LAT OD POCZDAMU

(Dokończenie ze str. 3-ej)

Aresztowania i dyskryminacja w stosunku do postępowej części młodzieży jest codzienną praktyką „rządu" w Bonn.

Brudne ręce mają ludzie, którzy kierują ruchem remilitaryzacji w Niemczech Zachodnich. Dość powiedzieć, że Prezydent Republiki Bońskiej, Theodor Heuss, głosował w 33 roku za pełnomocnictwami dla Hitlera — jako poseł do Reichstagu.

Już w okresie bezpośrednio po wojnie szerokie masy społeczeństwa zachodnio - niemieckiego sprzeciwiały się anglosaskiej polityce remilitaryzacji i łagodzenia kursu wobec zbrodniarzy w hitlerowskich mundurach. Już krótko po wojnie masy niemieckiego proletariatu demonstrowały przeciw próbom szykowania nowych ognisk zapalnych, próbom które dla niemieckich ludzi pracy oznaczały zwiększanie się wyzysku i perspektywę nędzy.

Ale specjalnie w roku 1951 i aż do chwili obecnej rozrósł się i nadal rośnie potężny ruch przeciw remilitaryzacji za pokojem i jednością Niemiec.

28. I. 51 r. w Essen — 2700 delegatów dziesiątków milionów Niemców obradowało nad sprawą referendum ludowego w sprawie remilitaryzacji, traktatu pokojowego i jedności Niemiec. I znamienita większość we wszystkich prowincjach Niemiec-Zachodnich wypowiedziała się przeciw remilitaryzacji. Już w pierwszej fazie Referendum 90 proc. głosujących górników Ruhry i 89 proc. ludności Saary powiedziało „nie" — zbrojeniom i wojnie. We wszystkich krajach Niemiec Zachodnich — procent „nie" — wynosił od 80—99 procent — a w Bawarii na 1.113.750 głosujących — 1.075.357 odrzuciło remilitaryzację. Podobnie w Westfalii i Hesji, Dolnej Saksonii i Nadrenii, Szlezwigu, Badenii i Wirtembergii.

Walka o pokojowe i zjednoczone Niemcy objęła również i część centrowych, a nawet prawicowych działaczy burżuazyjnych, jak b. kanclerz Rzeszy z r. 1920-21 — Wirth, pastor Niemöller, Helena Wessel, b. min. „rządu" w Bonn — Heinemann i wielu innych.

Wielka akcja ludu niemieckiego demaskuje oblicze kliki w Bonn i jej oficjalnej „opozycji" — SPD — Schumachera.

— Partia ta w samym Berlinie Zachodnim, w ciągu 6 pierwszych miesięcy 1951 r. utraciła 13.000 członków.

Klasa robotnicza niemiecka coraz lepiej widzi oblicze wroga i coraz gwałtowniej z nim walczy.

Taki jest krajobraz Trizonii, krajobraz zaprzepaszczonych uchwał i niedotrzymanych przyrzeczeń.

NOTA POKOJU

W styczniu br. Gerhard Eisler, szef Urzędu Informacji NRD oświadczył, że „zjednoczenie Niemiec doprowadziłoby w ciągu roku do zupełnego zlikwidowania bezrobocia w Niemczech Zachodnich". Zjednoczenie Niemiec leży w najgłębszym interesie NRD, Trizonii i pokoju na świecie, „Od chwili zakończenie wojny z Niemcami upłynęło blisko 7 lat, a jednak Niemcy wciąż jeszcze nie mają traktatu pokojowego, znajdują się w stanie rozbicia, pozostają nadal nierównouprawnione w stosunku do innych państw. Konieczne jest położenie kresu takiemu nienormalnemu stanowi rzeczy"—brzmi fragment projektu rządu radzieckiego o traktacie pokojowym z Niemcami. Projekt Radziecki rzuca pytanie panom Heussom i Adenauerom: czy jesteście za, czy przeciw narodowi niemieckiemu, za czy przeciw pokojowi w Europie i na świecie? Na to pytanie odpowiedź może być tylko jednoznaczna.

Tadeusz Strumff

Gazetka gminna

Po jakiemu to?

Było to tak. Dwa lata temu GRN w Błażowej (pow. Rzeszów) uchwaliło budowę drogi gminnej, która idzie również przez naszą wieś Białkę. Dobra myśl? Dobra. Ucieszyła się nasza gromada? Ucieszyła. Radości naszej nie zakłócił nawet fakt, że decyzję o nas powzięto bez nas. Nie zakłócił jej i drugi fakt, że GRN zarządziła budowę od biurka — szarwarkiem. Ale to był początek złego. Bo pozbawiono naszą gromadę inicjatywy i twórczego udziału. Nie powstał komitet, nie było zebrań i droga nie stała się naszym dobrowolnym, wspólnie podjętym Czynem.

W ubiegłym roku szarwarki były znośne, to i zła strona całej sprawy jeszcze się nie pokazała. Dopiero w tym roku, jakby kto GRN wsadził na sto koni. Tak poskoczyła z planem budowy drogi, że każdemu, co ma gospodarstwo od 2 do 5 ha, wlepiła od 10 do 60 dni szarwarku. Ja mam 1 ha i 74 a., połowę w Białce (tu — 4 i pół dnia), połowę w gromadzie Lecka (tu 2 i pół dnia) — razem 7 dni.

A jak jest u nas na wsi? Sami mało i średniorolni. Część jeździ i chodzi na budowy i tam za pracę pozarolniczą otrzymuje zapłatę, a na gospodarkę już mniej zostaje czasu. Część jest starych, wdów i niezdolnych do ciężkiej pracy. A co najważniejsze, że nasza gromada zakontraktowała dużo buraków cukrowych, lnu i tuczy chlewnej.

Te wszystkie warunki biorąc pod uwagę, można sobie wyobrazić rozgoryczenie u naszych chłopów. 60 dni, to dwa miesiące. Który z urzędników w GRN-ie ofiarowałby je za darmo? Taki wymiar musi podpadać pod pracę płatną i dobrowolną. A taki wysoki szarwark, to nadużycie władzy ludowej przez GRN, to świadome czy bezmyślne posianie zamętu i niechęci wśród chłopów. Jeśli trzeba było przyspieszyć tempo budowy drogi — to należało uczynić sprawę drogi sprawą gromady. My byśmy może po naradach uchwalili Czyn nie mniejszy. Ale papierkiem urzędowym, nakazującym tyle dni pracy, daleko się nie zajedzie, taka robota nie jest z ludem i nie poprzez lud!

Teofil Grabiec

GRN = GRS

Jest w województwie wrocławskim powiat Ząbkowice, a w tym powiecie gmina Kamieniec. Przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej został w r. 1951 przewodniczący spółdzielni produkcyjnej (w gromadzie Pilce) — Andrzej Szabat. Poszedł stary z jednej roboty na drugą? Gdzie tam! W gminie 8 wsi. Dwie jeszcze w 1950 roku założyły spółdzielnie produkcyjne. W 1951 r. było ich już 6, a w dwu ostatnich założycielskie komitety. Tej wiosny stary Szabat nie bardzo już wie, czy jest przewodniczącym GRN, czy też przewodniczącym ośmiu zespołów spółdzielczych? Tak czy owak bardzo to nowa sytuacja. Gminna Rada Narodowa nad uspółdzielczoną gminą. Jeździ stary po terytorium, bo już go do biurka nie przygważdża tysiące indywidualnych podań, kwitów, rejestrów, odwołań, poświadczeń, skarg i żalów. Teraz z zespołami sprawa. Ale stary, jak to stary, o ludziach nigdy nie zapomni. — Pamiętacie, jak to w 1950 roku zagiął mnie Tusiarz. Miał 5 krów i klacz. Klacz — powiada — daję do spółdzielni, a krowy nie, — bo żony, a ona przecie statutu nie podpisała. Uwierzyłem, że on anioł, a ona diabeł. Alem dlatego zaczął myśleć o naszych kobietach.

I pokazało się całkiem dobrze. U nas są młode małżeństwa. Jeszcze im bardzo na sobie zależy nawzajem. Toteż jak mąż dzielny spółdzielca, to kobiet — nie głupia — potrafi się przypodobać. Tak to jeszcze w Pilce przekonałem kobiety do współzawodnictwa. Wygrały przy obróbce buraków cukrowych, wygrały honorowo, bo umyśliły pole buraczane podzielić na działki i numery losować z czapki, jak wypadnie. Ukończyliśmy obróbkę przed chłopami indywidualnymi. Odtąd w okolicy mówi się o żonach naszych spółdzielców z Pilic, że „wcale nie są gorsze od mężów". A u was jak jest? — kończy anegdotę stary — już jako przewodniczący GRN.

Ignacy Foryś

Pogawędki jakich nie było

Coraz częstszym zwyczajem stają się wyjazdy przewodniczących spółdzielni produkcyjnych na indywidualne wsie. Któż z gromady nie przybiegnie na taką pogawędkę. To nie teoryja, ale z doświadczenia niezwykłości co niemiara.

Byłem i ja na kilku takich pogawędkach. Co se przypomnę to wam powtórzę. Pytali na ten przykład chłopi:

— A z owcami jak u was?

— Mamy 30, a dokupimy jeszcze 300.

— 300? A zboża ileście mieli odstawić?

— 88.377 kg 15 października oddaliśmy już 15 ton ponad plan.

— U nas była śnieć, a wam, jak wyszło z hektara?

— Pszenicy 32 q, żyta 25 q.

— No to jak się obliczacie?

— Weźcie na ten przykład rodzinę Andrzejewskich, ojciec — 340 dniówek, syn — 363, córka — 53, razem 760. Otrzymali — 80 q zboża, 21 q ziemniaków, 40 q buraków pastewnych, 135 q słomy, 280 kg cukru i 8,627 zł.

— Poczekajcie no, zapiszę sobie.

— Piszcie, piszcie. Może pomidory i ogórki was ciekawią? Proszę bardzo. 2 ha pomidorów wydało tyle, co 368 q żyta. 2 ha ogórków tyle, co 200 q żyta.

— To wy i warzywa nie potrzebujecie pod domem hodować, co?

— Pod domem zawsze się przyda ogródek, ale rzeczywiście samiśmy zmniejszyli 1-hektarowe działki do 30 a.

— A maszyny u was jakie?

— Kopaczki, żniwiarki, kosiarki czyszczalnia mechaniczna, elewator, motor elektryczny, platforma ogumiona.

— A coście zrobili z traktorem?

— Oddaliśmy POM-owi. Lepsza kalkulacja, taniej nas wynosi.

— I coście jeszcze wykalkulowali?

— Elewator, wyremontowaliśmy i zastępuje nam przy młócce pracę 7 ludzi. To samo z maszyną do czyszczenia zboża. Teraz przy obsłudze 2-ch ludzi czyści nam dziennie 90 q.

I tak dalej i tak dalej ciągną się gawędy, jakich jeszcze na wsi polskiej nigdy nie słyszano.

Kazimierz Wasiak

Czytając projekt konstytucji...

Kiedy rozważam projekt konstytucji staje mi przed oczami moja gospodarka przed wojną. Przed wojną na moim 5-cio hektarowym gospodarstwie zużywałem tylko 2,5 metra superfosfatu. To samo było w całej mojej wsi, bo ze względu na wysokie ceny na nawozy nie można ich było stosować. A obecnie ja bez porównania stosuję dużo więcej nawozów, a więc 4 q fosforowych, 2 q azotowych i 5 q potasowych, to samo można powiedzieć o całej mojej wsi. To jednak wciąż jeszcze nie jest dostateczna ilość nawozów dla osiągnięcia wyższego poziomu gospodarki na wsi. Ale wiemy, że dalsza rozbudowa przemysłu, którą zapewnia nowa Konstytucja te braki zaspokoi. Źle było przed wojną z maszynami i narzędziami rolniczymi. Przed wojną do żniw używana była kosa do cięcia, co wyczerpywało każdego człowieka fizycznie. A obecnie ja i moi sąsiedzi posiadamy żniwiarki, kopaczki, gospodarstwa mamy zelektryfikowane, co ułatwia nam bardzo pracę. Przed wojną nie słyszano w naszej wsi o snopowiązałkach, a obecnie na naszej gminie znajduje się 50 sztuk i w mojej wsi również wiele z tych maszyn pracuje, ziarna siewnego jest więcej obecnie niż przed wojną. Jeśli chodzi o zaopatrzenie w obuwie, materiały ubraniowe, mydło, cukier, garnki, meble itp. jest tego dużo więcej niż przed wojną. Spożycie np. cukru na naszej wsi w porównaniu do przed wojny ogromnie wzrosło, bo prawie trzy razy. Dziś gospodarstwo moje produkuje ziemiopłodów również znacznie więcej, jak przed wojną: kłosowych więcej o 2 q z hektara, plony okopowych również wzrosły: buraków cukrowych ze 180 q do 350 q, ziemniaków ze 120 do 200 kwintali, na co wpłynęło lepsze nawożenie ziemi, oraz uprawa roli lepszymi narzędziami rolniczymi i maszynowymi. Jeśli chodzi o inwentarz żywy w moim gospodarstwie a szczególnie o hodowlę trzody, to przed wojną chowałem 3 tuczniki, a w roku np. 1951 wychowałem już 8 tuczników i jedną maciorę, z czego odsprzedałem państwu 6 tuczników.

Ale przecież i my chłopi i cały naród nie poprzestaniemy na tym co już dziś zdobyliśmy i co nam gwarantuje Konstytucja.

Pójdziemy dalej, aby zbudować nowe, lepsze życie.

Stefan Król

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Trzy dni w gminie

Mój tata pojechał do Lipska. Do Lipska jest z naszej wsi 13 km. A w Lipsku znajduje się Gminna Rada Narodowa i to jest miasteczko. Tata nazywa Lipsk **stolicą** gminy. Wyjechał i nie było go 3 dni. Kłopotów w domu nie mieliśmy z tego powodu, bo u nas gospodarka tylko na 2 hektarach. Kiedy tata wrócił, przegadał 4-ty dzień, tyle miał do opowiadania o stolicy naszej gminy. Jaką tata miał sprawę w GRN-ie, nie zapamiętałem. Ciekawe dla mnie były przygody ojca. Pierwszy dzień zleciał mu na tym, że chodził z pokoju do pokoju, bo tam 15-tu urzędników, kiedy doszedł do ostatniego, a ten ci był od sprawy ojca, wybiła 4 godzina po południu. Zanocował tata w Lipsku. I nazajutrz już od rana stoi przy tym 15-tym urzędniku. Teraz ten latał przez cały dzień po wszystkich pokojach, bo nie miał „pełnego — jak mówił — poglądu". Kiedy przyszło do podpisu okazało się, że na sekretarza jest vakat a przewodniczący nieobecny. Został więc tata na trzeci dzień. Teraz mu podstemplowano i podpisano. Poszedł tata do GS-u.

— Lemiesz, podkowy i nafty chciałbym kupić.

— Teraz idzie nafta, co innego później.

Poszedł tata do znajomych pożyczyć bańki. Za powrotem sprzedawano już co innego. Lemiesze były nr. 4 i 1, a tata chciał nr 2. Cukier zaś będzie jutro. Jeszcze jedną noc tata nie śpi z mamą. Rano jest już w spółdzielni. Nafta dzisiaj tylko dla urzędów, cukier dla każdego. Prosił ojciec o „ćwiartkę" dla rozgrzewki, ale nie było. A tu wchodzi p. Koryccki, kierownik Ośrodka Maszynowego i chce „uchnala", jak go wziął w rękę pokazało się, że to „ćwiartka". Tata do p. Koryckiego — czy może zamówić motor i maszynę czyszczącą do omłotu? P. Korycki łykając „uchnala" objaśnił ojca, że po 1) godzina kosztować będzie 25 zł, po 2) obie maszyny są popsute, po 3) mechanika do motoru spółdzielnia nie ma.

— Za te cztery dni — powiedział tata pod wieczór — zdążylibyśmy omłócić i bez maszyny. Szykuj się Józek od jutra! Popamiętasz ty moją podróż do stolicy gminy. Popamiętam.

Józef Molęda

Pierwszy raz

Nasza wioska leży nad samą Narwią, w takim zakątku, że jak się pokazałem w Powiatowej Radzie i PZGS-ie to mnie wyoglądali i powiadają — w statystyce i planach mamy Waszą gromadę Dzbącz, ale człowieka stamtąd oglądamy pierwszy raz.

My w gromadzie od lat powiadamy, że nas za baranów mają, co niesprawiedliwością jest wielką, bo nasza wioska z mało i średniorolnych się składa. A że u nas był przyczółek i doszczętnie zniszczyły wieś wojenne działania, to co? Nie ma nas, został las? Odbudowaliśmy się z pomocą państwa.

Aktywność u nas jest, choć ziemia słaba, zobowiązania wszystkie wypełniliśmy, kontraktacje podnosimy i o filię mleczarską będziemy się bić aż do zwycięstwa. Właśnie o tym chciałem napisać, jak to upełnomocniony przez gromadę, przeszedłem przez wszystkie instancje biurowe, które się znajdują na terytoriach naszego powiatu makowskiego.

Założono u nas filię mleczarską w 1950 r. Najpierw było dobrze, a potem gorzej z obliczaniem procentów tłuszczu, z rozdziałem otrąb i wypłatą, z którą zalegano aż na koniec filię zamknięto. Wtedy ja do kierownika mleczarni w Różanie — dlaczego nie ma kontroli w naszej filii? Nie wiem — odpowiada. — To się dowiesz — mówię ostro i jadę do Makowa. Referent powiatowy słuchał mnie bardzo pilnie i przekazał do kierownika PZGS-u. Ten też pilnie słuchał i zaraz napisał zlecenie do sołtysa: będzie zebranie w gromadzie, sam kierownik PZGS-u przyjedzie i sprawę na miejscu się załatwi.

Zebranie urządziliśmy popisowe, aby w powiecie przekonano się, że z nas nie barany. Kierownik PZGS-u przyjechał najpierw do gminy, żeby przy okazji obejrzeć GS i tu już utknął, bo w kierowniku GS-u rozpoznał przyjaciela z dawnych lat.

Po tym liście, mam nadzieję, że go już żaden przyjaciel nie zatrzyma w pół drogi. Wtedy mu powiemy. — W gazecie to nawet nasza wieś o panu kierowniku pisała i w planach rozwinięcia produkcji też go braliśmy w rachubę, ale osobę oglądamy dopiero pierwszy raz.

Stefan Bladosz

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12 tel 7 52-50 Adres redakcji Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż P P K „Ruch" Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 83
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—, półrocznie 18,— zł, rocznie 36,— zł
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6942 110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-10880

NASZE ROZMOWY

W Nowym Tomyślu zapomniano o mostach...

W toku jesienno - zimowej akcji skupu i kontraktacji oraz energicznej walki ze skutkami posuchy i próbami wykorzystania ich przez elementy spekulacyjne ujawnił się z jednej strony ogromny wzrost aktywności i wiary we własne siły i pomoc klasy robotniczej u znacznej części mało i średniorolnych chłopów oraz coraz lepsze rozumienie przez nich istoty i celów naszego socjalistycznego budownictwa, z drugiej zaś strony nie mniej wyraźnie wystąpiły u pewnej części pracującego chłopstwa pewne wahania, wykorzystane rzecz jasna skwapliwie przez wroga klasowego dla wprowadzenia zamętu i poderwania naszej planowej gospodarki.

Mimo lepszych czy gorszych warunków klimatycznych z roku na rok od r. 1945 szliśmy w rolnictwie aż do roku 1951 od sukcesu do sukcesu. W tych warunkach pierwsze poważniejsze niepowodzenia i trudności roku 1951 w rolnictwie nie mogły, rzecz jasna nie spotęgować tych wahań, tak charakterystycznych w ogóle dla postawy drobnotowarowego wytwórcy, nie mogły nie podciąć nieco przesadnej nieraz wiary we własne siły u niektórych mało i średniorolnych chłopów.

Nie było by w tym jeszcze nic złego, gdyby osłabło tylko przekonanie o **nieograniczonych** możliwościach rozwoju produkcji rolnej w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich, które przecież w skrytości ducha pielęgnowało dotychczas wielu chłopów zwłaszcza średniorolnych. Przekonanie się bowiem na własnej skórze o ograniczonych możliwościach reprodukcji w drobnotowarowej gospodarce, o jej zależności od kaprysów przyrody ułatwia zrozumienie potrzeby zespołowej gospodarki w rolnictwie.

Ale na niektórych terenach, zwłaszcza tam, gdzie (głównie z braku aktywności dołowych ogniw organizacji masowych) praca polityczna z masami chłopskimi posiada jeszcze poważne braki — na tle niepowodzeń produkcyjnych 1951 r. wystąpiły i innego typu zjawiska.

Wyrazem tego typu nastrojów, nastrojów niesłusznych i szkodliwych, z którymi trzeba walczyć jest np. list **ob. Stefana Dąbrowskiego z powiatu Nowy Tomyśl** w woj. poznańskim, pisany ze wsi, w której powstał już w roku zeszłym Komitet Założycielski Spółdzielni Produkcyjnej.

Oto bowiem co pisze ob. Dąbrowski, rozważając sprawę zespołowej gospodarki w rolnictwie:

„Najlepiej było by, gdyby na początek zespołowej gospodarki państwo postawiło siły fachowe, sztab specjalistów odpowiedzialnych przed gromadą i państwem za wprowadzenie gospodarki w dobry bieg. Zarząd byłby tylko do uzgadniania spraw gospodarczych i miałby prawo sprzeciwu. Było by to zabezpieczenie w dziedzinie fachowej. Wszyscy członkowie musieliby solidarnie podporządkować się i pracować na wyznaczonym im miejscu przynajmniej przez przeciąg jednego roku. Jeżeli po tym wstępnym okresie stwierdziłby ktoś, że mu się w ogóle nie podoba, mógłby wystąpić bez wniosku.

Poza tym przebudowa i budowa budynków gospodarczych musiałaby być dokonana przez Państwo, lub ostatecznie na podstawie długoterminowych, bezprocentowych kredytów, płatnych po zagospodarowaniu się.

Propozycja ob. Dąbrowskiego na pewno nie spotka się z uznaniem ani członków spółdzielni produkcyjnych, ani tych mało i średniorolnych chłopów, którzy rozważają sprawę przystąpienia do gospodarki zespołowej już w tym albo w przyszłym roku. Ogromna bowiem większość mało i średniorolnych chłopów przywykła do gospodarki na własny rachunek i na własną odpowiedzialność, i dlatego z ogromnym zadowoleniem przyjmuje te podstawowe punkty statutu spółdzielni produkcyjnych, które mówią o tym, że ziemia i część przyzagrodowego inwentarza, jak również budynki mieszkalne stanowią własność członków spółdzielni, a pozostałe ośrodki produkcji stanowią społeczną własność członków spółdzielni, a nie całego narodu jak np. w PGR-ach czy w państwowej fabryce, że dochody z produkcji roślinnej i zwierzęcej dzielone są stosownie do wkładu pracy pomiędzy poszczególnych członków spółdzielni. W ten sposób spółdzielni produkcyjnej następuje zrozumiałe dla każdego chłopa pracującego sharmonizowanie jego interesu z interesem społecznym. Rzecz jasna, że spółdzielnie produkcyjne mogą liczyć na pomoc zarówno agrotechniczną jak i finansową władzy ludowej, co wyraźnie gwarantuje zarówno projekt Konstytucji jaki każdy nasz państwowy plan gospodarczy, ale w żadnym razie ta pomoc państwa uzupełniająca i dopełniająca wysiłki członków spółdzielni i całego zespołu, nie może zaciemnić faktu, że spółdzielnia pracuje na własną odpowiedzialność i na własny rachunek, że od wkładu pracy, pomysłowości i inicjatywy całego zespołu spółdzielczego i poszczególnych jego członków, a nie tylko od pomocy państwa, zależą wyniki i dochody członków spółdzielni.

Ale nas z tej wypowiedzi interesuje i inna sprawa. Ob. Dąbrowski wysyłając takie propozycje nie zdaje sobie może sprawy jak bardzo idzie w tym wypadku na rękę kułakom i wrogom spółdzielni produkcyjnej, którzy usiłują zdusić aktywność i wiarę we własne siły mało i średniorolnych chłopów, aby ich utrzymać w bierności i zależności od siebie. Bo przecież to co proponuje ob. Dąbrowski to nic innego jak stwierdzenie, że chłopi pracujący nie potrafią gospodarować, że nie rozumieją potrzeby wkładów inwestycyjnych, które umożliwiają poważne zwiększenie produkcji, a tym samym i dochodów członków spółdzielni, że potrafią pracować tylko pod ścisłą kontrolą itp. co jest przecież nie tylko niesłuszne, ale i obraźliwe dla mas chłopskich, które wykazały w Polsce Ludowej ogromną inicjatywę twórczą, zaradność i gospodarność.

List ob. Dąbrowskiego odsłania w ten sposób poważne braki w pracy politycznej w powiecie Nowy Tomyśl. Nikt bowiem dotychczas nie wytłumaczy ob. Dąbrowskiemu różnicy między państwową, ogólnonarodową formą własności, a własnością spółdzielczą, nikt dotychczas nie wytłumaczy mu, że budowa ustroju socjalistycznego wymaga wielkiego wkładu aktywności i inicjatywy twórczej nie tylko klasy robotniczej, ale także sojuszników te jklasy robotniczej — chłopów pracujących wespół z nią i pod jej kierownictwem budujących nowy ustrój.

Jeśli w jakimś terenie stwierdzimy podobne do sformułowań ob. Dąbrowskiego niezrozumienie istoty spółdzielczości produkcyjnej — to przyczyna tego prawie zawsze leży w tym, że zaniedbaliśmy w tym terenie sprawy budowy „mostów" prowadzących do spółdzielczości produkcyjnej. Cały sens bowiem „mostów" prowadzących do zespołowej gospodarki na roli nie polega tylko na tym, że mają one tą samą, co spółdzielnie produkcyjne, „firmę" spółdzielczą, ale i na tym, że właśnie idąc po tych mostach (organizując i kontrolując skup i zaopatrzenie wsi w GS-ach, biorąc udział w kontraktacji itp) masy chłopskie wznoszą się na wyższy, socjalistyczny stopień kultury(rozumianej w jej najgłębszym leninowskim sensie, jako **umiejętność rządzenia krajem)**, zdobywają bowiem umiejętność rządzenia swymi sprawami, umacniają w sobie zarówno wiarę we własn esiły jak i zaufanie do klasy robotniczej, do jej kierownictwa, przykładu i pomocy.

List ob. Dąbrowskiego, który odsłania braki w pracy organizacji masowych w pow. Tomyśl, powinien być sygnałem ostrzegawczym i dla innych powiatów, w których zapomniano nieco o konieczności nasycenia żywą treścią społeczno - polityczną pracy tych wszystkich terenowych instytucji i placówek zwłaszcza gospodarczych, w których mało i średniorolny chłop zdobywa nie tylko umiejętności rządzenia swymi sprawami, ale również umacnia w sobie wiarę we własne siły oraz zaufanie do klasy robotniczej: jej kierownictwa, przykładu i pomocy dla pracującego chłopstwa, chcącego budować nowe, lepsze życie na wsi.

Wojciech Scibor

A w Porąbce...

Przygadał mi kol. Scibor w art. „Nasze rozmowy" umieszczonym w 10 Nr „Wsi", ale to i dobrze, bo chciałem jak ten kot iść własnymi drogami zapominając, że jednako gorzki był los pracujących chłopów w całej Polsce przedwrześniowej i jednakie są trudności przy wchodzeniu na drogę socjalizmu.

Jakby w odpowiedzi na to pragnę się pochwalić, że właśnie kilka dni temu, to jest 9 marca 1952 roku zostało w Porąbce zorganizowane Zrzeszenie Uprawy Ziemi. Długo trwały narady aktywistów politycznych i społecznych zanim odważono się zdecydowanie założyć Zrzeszenie na podstawie istniejącego statutu, bez wprowadzenia do niego zmian. I może by jeszcze trwały te narady, gdyby nie fakt, że sprawa interesująca Porąbkę stała się głośną na cały powiat i wzbudziła pewnego rodzaju współzawodnictwo wśród działaczy innych gromad. Dzięki temu współzawodnictwu w miesiącu lutym powstały na terenie powiatu będzińskiego dwie spółdzielnie produkcyjne w gromadach: Łosień i Ujesce, a w trakcie organizowania jest trzecia w Malinowicach oraz dwa ośrodki społecznej gospodarki hodowlanej w Czeladzi i Rogoźniku. Fakty te podziałały na nas jak bicz na rasowego konia. Jako inicjatorzy spółdzielczości produkcyjnej na wsi zagłębiowskiej pozwoliliśmy sobie wyrwać palmę pierwszeństwa Nie gniewamy się to, a nawet cieszymy, że chociaż pośrednio mogliśmy się przyczynić do powstania nowych wsi uspołecznionych w naszym powiecie. Jednak nie chcąc pozostawać daleko w ogonie nacisnęliśmy na własne odciski i odważnie wystąpiliśmy na zebraniu niedzielnym do walki o nową rzeczywistość. Sprawa nie jest łatwa, gdyż robotnik kopalniany posiadający swój hektar gruntu, traktuje pracę na roli, jako dodatkową, wykonywaną w godzinach wolnych od pracy zawodowej.

Ale dlaczego nie spróbować i tej pracy zorganizować po nowemu?

U nas początek został jednak zrobiony. Jedenastu rolników podpisało deklaracje, a kilkunastu dalszych przyjęło do przemyślenia i podpisania w domu. Podpisało na razie 5-ciu członków Z.S.L., 3-ch członków PZPR i 3 bezpartyjnych. Wybrano od razu zarząd, w skład którego weszli wypróbowani działacze spółdzielczy ob. ob. Szczygieł Aleksander, Działach Zygmunt i Łabędź Lucjan oraz na zastępców Walkus Antoni i Łusicki Stefan. W skład komisji Rewizyjnej wybrano ob. ob. Jelonka Jana, Trybałę Antoniego i Fidyk Stanisławę. W najbliższym czasie spodziewane jest przystąpienie do prac związanych bezpośrednio z uprawą pastwisk, które są najważniejszą bolączką tutejszego terenu.

Ktoś może powie, że bardzo słabiutkie jest to porębskie zrzeszenie jeśli liczy tylko 11 członków. Nas to nie przeraża, bo wiemy z doświadczenia, że wielkie rzeczy rodzą się zawsze w bólu, a dowiedzy czy dobrobytu nie jedzie się windą, lecz wychodzi powoli po bardzo stromych schodach. Gdyśmy w 1930 roku zakładali Kasę Stefczyka, aby rolników wyrwać z rąk lichwiarzy, to było nas tylko 10 straceńców, ryzykujących swoje wkłady.

Nie bardzo się to nam udało, bo władze sanacyjne broniły interesów lichwiarzy, a nie pracujących chłopów. Dopiero po wojnie, w Polsce Ludowej, mogliśmy nasze dążenia zrealizować, gdy na bazie naszej kasy przeniesionej do Strzemieszyc powstała Gminna Kasa Spółdzielcza. Wkrótce już mogliśmy pochwalić się 220 członkami. To samo było z zakładaniem Gminnej Spółdzielni. 20-stu odważnych zorganizowało spółdzielnię, do której obecnie należy 1250 członków i obrót jej idzie w miliony. Z małych cegiełek gromada Porąbka buduje nie tylko dom społeczny, ale i życie społeczne. Życie, które w konsekwencji ogarnia tysiące gminniaków i jednoczy ich do jednego wielkiego celu — Socjalizmu.

Toteż jak w innych wypadkach tak i obecnie mamy nadzieję, że za tą czołówką pierwszych pójdzie w niedalekiej przyszłości jeśli nie cała, to większa część naszej gromady i w następnej korespondencji będę mógł więcej o pracy naszego zrzeszenia napisać.

Jan Jelonek

Kronika kulturalna

Ponad 1300 wiejskich zespołów teatralnych rozpoczęło Festiwal Sztuk Polskich na szczeblu gminnym, dając w sąsiednich gromadach po 2—6 przedstawień każdy. „Zaprzęgać konie" Lachowicza (gra 220 zespołów), „Zwycięstwo" Warmińskiego (gra 114 zespołów) — sztuki o współczesnej problematyce wiejskiej, cieszą się największą popularnością. Obok nich wystawiają zespoły wiejskie sztuki tej miary jak „Niemcy" Kruczkowskiego (5 zespołów) „Krakowiacy i górale" Bogusławskiego (2 zespoły), „Grzech" i „Sułkowski" Żeromskiego (3 zespoły) W woj. szczecińskim na 70 zespołów planowanych zgłosiło się aż 103.

✻

1.000 świetlic gminnych z etatowym kierownictwem rozpoczęło na mocy Uchwały Rady Ministrów pracę pod opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki. Placówki te będą instruowane i kontrolowane przez 23 Powiatowe Domy Kultury. W końcu br. zostanie zorganizowanych etatowo 5.000 świetlic gromadzkich.

Całość pracy tych przodujących placówek ujęta jest w ramy 5 pionów: 1) masowo - polityczny, 2) naukowo - oświatowy, 3) twórczości amatorskiej, 4) artystyczno - widowiskowy, 5) sportowo - wypoczynkowy. Funkcję rejonowych ośrodków instruktorsko - metodycznych dla ok. 20 świetlic każdego reejonu spełniają Wiejskie Domy Kultury w liczbie 18 placówek 10 domów znajduje się obecnie w remoncie, ponadto 20 — w stadium budowy. Przy końcu br. czynnych będzie ok. 50 Wiejskich Domów Kultury. Niedawno został otwarty Wiejski Dom Kultury w gromadzie Brzeżanka, gm. Strzyżów, pow. Rzeszów; wkrótce oddany zostanie do użytku nowy budynek domu w grom. Nadole, pow. Krosno.

✻

Na Festiwalu Muzyki Polskiej występowało 2040 wiejskich zespołów tanecznych i muzycznych przed prawie 1,5 milionową widownią. Na szczeblu eliminacji gromadzkich ponad 5000 wystąpień oglądało 750 tys. widzów W 455 zlotach gminnych 1743 zespoły wystąpiły wobec 135 tys. widzów. W eliminacjach rejonowych 510 zespołów wystąpiło przed 79 250 osobową widownią, w wojewódzkich — 212 zespołów wobec 104 tys. widzów

✻

60 Państwowych Ognisk Artystycznych — placówek tańca, śpiewu, muzyki, rzeźby itp. już od roku obok pracy pedagogiczno - dydaktycznej zbiera regionalne zabytki kultury ludowej: piosenki, melodie, tańce, wzory.

Ośrodek w Jarosławiu odszukał i opracował b. ciekawe zapomniane tańce ludowe (np taniec p.n. „hajduk"). Ośrodki poznańskie opracowują obecnie stare wielkopolskie tańce z w. XVI.

Kadry dudziarzy, specjalistów od gry na tradycyjnych instrumentach ludowych — jak kobzy, dudy, sierszenki — wychowuje ośrodek w Zburszyniu. Młodzi artyści to przeważnie dzieci chłopskiej biedoty. W Rudułowych na Śląsku pracuje ognisko rzeźby w węglu. Uczniami są tu w 95 proc. młodzi górnicy.

✻

Jak przedstawia się za rok 1951 bilans pracy oświatowej na wsi:

— odczytów — 26 555, uczestników 1,5 miliona;

— filmów wyświetlonych — 26.925, widzów — 3,5 miliona.

b. g.